Miesięcznie 1 zł.
prenumeratę przyjmuje każda poczta

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok IV. Niedziela, dnia 26 kwietnia 1936 r. Nr. 17

WITAJ WIOSENKO!



Hej, witamy cię wiosenko
nasza urocza!
Hej, witamy cię wiosenko
kochana!
Szeleszcząc swoją sukienką,
idziesz ochocza,
Jasną zapalasz jutrzenką
świt z rana.
Wnet wszystkie smutki ulecą,
będziem weseli.
Wnet wszystkie smutki ulecą,
jak mary.
Kiedy nam sady zaświecą
blaskiem swej bieli,
Kiedy nam sady zaświecą
swym czarem.
Uśmiechasz się znów błękitem,
roztaczasz wonie.
Znowu nas darzysz błękitem
i słońcem.
Darzysz nas kwieciem rozwitem,
co ogniem płonie...
Darzysz nas kwieciem rozwitem,
pachnącem.

„Jadźka z Kujaw".

MARJAN BRONISŁAWSKI

16)

Szumowiny

Powieść sensacyjna na tle stosunków amerykańskich

Z uderzeniem godziny dwunastej, właśnie w chwili, gdy Haneczka, zawołana przez Gretę, zeszła do sali, aby wystąpić jako tancerka, Harden wysunął się bocznemi drzwiami i pogrążył się w ciemności panującej za budynkiem. Stanął cicho i chwilę nadsłuchiwał, gdy uszu jego doszedł stłumiony głos Gerbera:

— Jestem, Mike. Gadaj co robić. Mam z sobą tylko jednego, ale pewnego towarzysza. Czeka w krzakach za zakrętem. Maszynę mamy swoją.

— Dobrze — odparł szeptem Harden. — Ptak, na którego zapolujecie, siedzi przy stoliku, tuż przed bufetem. Wyjdzie stąd nie prędzej, jak między pierwszą i drugą. Masz przeszło godzinę czasu, skryj się po tamtej stronie drogi naprzeciw wyjścia z budynku i uważaj pilnie. Jeżeli wyprowadzę go przed drzwi i będę miał w ręku latarkę elektryczną, którą dwa razy zaświecę i zagaszę, będzie znaczyć, że macie napaść go, gdy dosyć się oddali. Gdybym nie dał znaku światłem, zostawcie go w spokoju. Rozumiesz?

— Doskonale. Czekam zatem na sygnał świetlny! Tymczasem polecę przygotować tamtego, żeby był gotów. A po robocie, co?

— Zostawicie go związanego gdzieś na uboczu, tamten niech zmyka do New Yorku, a ty przyjdziesz na to samo miejsce, gdzie teraz rozmawiamy i oddasz mi trzos z kamieniami. Nie radzę ci próbować podziału, zanim się ze mną zobaczysz, bo wsypiesz siebie i tamtego, a ja nie pomogę wydobyć ci się z matni. Sam sprzedać nie potrafisz, pamiętaj o tem.

— To ty, Mike, myślisz, że ja chciałbym cię oszukać? Nie spodziewałem się tego po tobie!

— No, no... dajmy temu pokój. Znamy się dobrze.

— Tylko jeszcze jedno... Kiedyż dostaniemy naszą część gotówki? Wiesz, że ja potrzebuję pieniędzy, no, a tamten także nie siedzi na banknotach... Dziś musisz dać choć po parę tysięcy, a resztę po sprzedaniu w przeciągu kilku dni. Zgoda?

— Po parę tysięcy dziś? — odpowiedział Harden. — Nie wiem, czy uzbieram tysiączkę w domu, ale ile będzie w kasie, tyle dostaniecie. A co do reszty, nie bój się, dostaniesz w przeciągu czterdziestu ośmiu godzin. Teraz umykaj i uważaj na sygnał.

Gerber mruknął coś pod nosem i znikł w cieniach nocy.

Opiekun Haneczki postał jeszcze chwilę i starał się przebić wzrokiem ciemności, które pochłonęły jego wspólnika w zamierzonej zbrodni. Na ustach igrał mu niesamowity uśmiech szyderstwa i pogardy. Chciwy szynkarz zgóry już postanowił oszukać wspólnika, a raczej narzędzie, którem się posługiwał.

Obszedł cicho dokoła budynku i jak wyszedł, tak wszedł niespostrzeżony przez nikogo bocznemi drzwiami. Przystanął pod drzwiami sali i z tonów muzyki poznał, że w tej chwili Haneczka wykonuje swój rytmiczny taniec przy kolorowem oświetleniu.

Pomału otworzył drzwi sali i wsunął się jak cień cichutko.

Winters siedział przy swoim stoliku i wpatrywał się w zgrabną postać tańczącej dziewczyny.

— Nie długo już będziesz się tak męczyć, dziecko moje — myślał, obracając w ręce przygotowaną dla niej karteczkę. — Jutro wyzwolisz się z tego piekła...

Po kilkunastu minutach światła zajaśniały na sali i grzmot oklasków oznajmił że występ panny Burke skończony. Haneczka przebiegła lekko przez salę, skinęła głową Wintersowi i znikła za drzwiami, prowadzącemi do mieszkania.

Do Wintersa zbliżył się Harden i siadając przy stoliku rzekł z uśmiechem:

— Teraz już nie długo pan poczeka. Panna Burke poszła przebrać się i za parę minut zasiądzie z nami.

— Dobrze — odpowiedział Winters. — Możemy razem zjeść kolację...

— Ej, ej! — pogroził mu palcem gospodarz — coś mi pan za bardzo lgnie do mojej tancerki, panie Winters! Jakieś niezwykłe zainteresowanie pan okazuje, co? To podejrzane...

Przysunął się z krzesłem tuż do Wintersa i obejmując go żartobliwie wpół, przeciągnął ręką po miejscu, w którem trzos powinien się znajdować. Chciał upewnić się, czy Winters ma przy sobie drogie kamienie. Jakoż poczuł pod palcami zgrubienie w odpowiedniem miejscu i zatarł ręce z zadowolenia.

— Teraz pójdę po pannę Burke — rzekł wstając. — Przyjdziemy za chwilkę.

Winters przygotował karteczkę i trzymał ją w prawej ręce. Postanowił oddać liścik dziewczynie w chwili podawania jej ręki na przywitanie.

Niedługo czekał. — Po kilku minutach do sali weszła przebrana już Haneczka i skierowała się prosto do stolika Wintersa. Tuż za nią postępował gospodarz.

— Jak się pani miewa, panno Burke? — powitał ją Winters, podając rękę, w której miał ukrytą karteczkę. — Pan Harden mówił, że pani pytała o mnie...

Haneczka poczuła w swej rączce karteczkę i zarumieniła się po białka oczu. Równocześnie Winters ścisnął ją mocniej za rękę, chcąc dać do zrozumienia, żeby się nie zdradziła, że dostała list. Jakkolwiek niedoświadczona, rychło się zorjentowała w sytuacji i zamknęła dłoń z karteczką. Harden nie zauważył nic podejrzanego.

Winters poprosił Haneczkę, by usiadła przy stoliku, gdy Harden, nie chcąc, żeby rozmowa odbywała się na sali, gdzie ktokolwiek z łatwością mógł ich podsłuchać, zaproponował, żeby we trójkę udali się do gabinetu, gdzie będą mogli swobodnie porozmawiać.

Haneczka, przyzwyczajona do biernego posłuszeństwa opiekunowi, spojrzała pytająco na Wintersa, który bez wahania zgodził się na opuszczenie sali.

— Kolację zjemy na górze — rzekł Harden. — Proszę iść naprzód.

Wskazał ręką drzwi i wyszli razem.

W gabinecie stół był nakryty na trzy osoby. Widocznie Harden z góry uplanował sobie rozmowę bez świadków i kazał nakryć.

Gdy usiedli, gospodarz, nie tracąc czasu, rzekł do Haneczki:

— No, mała, masz pana Wintersa. Mów, jaki interes miałaś do niego. Ja sam jestem bardzo ciekawy. Słuchamy.

Haneczka nie wiedziała jak zacząć, gdy nagle Harden uderzył ręką w stół, że aż talerze podskoczyły, i zawołał:

— Dosyć tej komedji. Panie Winters, znam całą sprawę i postanowiłem raz skończyć te tajemnice. Wiem, że przywiózł pan list od Burskiego, i wiem także, że oprócz listu przywiózł pan coś więcej dla jego córki. Panna Burska powiedziała mi wszystko. Jak pan zamierza postąpić?

— Niby z czem? — spytał Winters.

— Niech pan nie udaje, że nie wie pan o co chodzi. Córka Burskiego, którą ma pan przed sobą, żąda, żeby pan oddał jej te rzeczy, które ojciec dla niej przysłał. A ja, jako opiekun, popieram jej rządanie.

Winters spojrzał na Haneczkę.

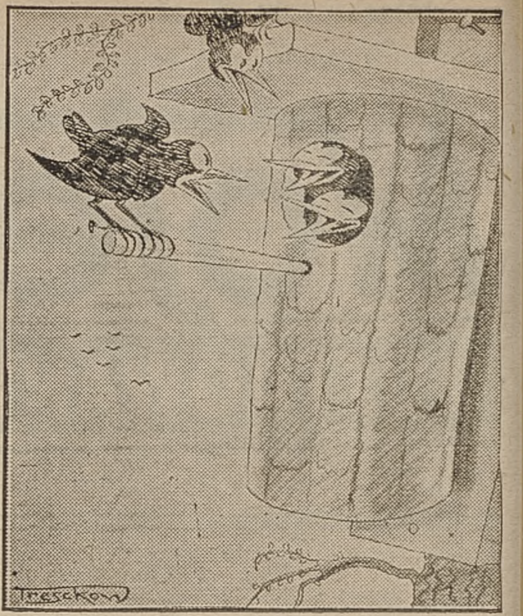
Miała łzy w oczach i nie wiedziała co powiedzieć.

Zastąpił ją Harden, który straciwszy raz cierpliwość, nie mógł się pohamować.

— Co tu dużo gadać? — rzekł gwałtownie. — Domagam się, żeby pan natychmiast oddał mojej wychowanicy jej własność. Jeżeli pan nie zechce oddać dobrowolnie, — narazi się pan na przykre następstwa, bo zaraz jutro wniesiemy skargę na pana.

Winters uśmiechnął się pobłażliwie.

— Skargę na mnie? — spytał spokojnie. — Czy ja zapieram pannie Burskiej jej własności? Skoro tylko zażąda, gotów jestem oddać to, co mam dla niej i niczego nie zarządam, tylko pokwitowania odbioru.



Walka o gniazdo... Do zacisza ptasiego domku wtargnął nieprzyjaciel i radby wyeksmitować jego mieszkańców, ale zaraz na wstępie przywitały go ostre dzióby przeciwników.

Hardena twarz promieniała.

— No, — rzekł do Haneczki — słyszysz? Pan Winters czeka, aż sama zażądasz, więc mów!

— Tak, panie Winters, proszę o oddanie mi tych kamieni, które ojciec dla mnie dał panu. Bardzo proszę...

— Ależ naturalnie, panno Burska — odparł Winters. — Z największą chęcią. Ale w tej chwili nie mogę zastosować się do życzenia pani...

— Dlaczego? — huknął ostro Harden.

— Poprostu dlatego, — odpowiedział Winters z najsilniejszą krwią — że nie mam ich przy sobie. Jest tego sporo i przyzna pan, że niebyłoby nawet bezpiecznie nosić taki majątek przy sobie. Przyjadę jutro, albo, jeżeli państwo chcecie, możemy spotkać się w New Yorku i tam załatwimy cały interes. Może nawet tak lepiej będzie, bo panna Burska będzie mogła oddać te kamienie na przechowanie do banku, lub...

Harden tymczasem ochłonął. Zresztą przewidywał, że tak się stanie.

— Dobrze — przerwał Wintersowi. — Niech pan naznaczy miejsce, gdzie mamy się jutro spotkać w mieście. Proszę tylko, żeby spotkanie było w porze przedpołudniowej, gdyż popołudnie będę miał zajęte.

— Wobec tego musimy odłożyć do następnego dnia, gdyż jutro przed południem ja nie będę miał czasu. Pojutrze mogę służyć panu o jedenastej rano.

— Zgoda — odpowiedział Harden, śmiejąc się w duchu. — Gdzie się spotkamy.

— W moim pokoju, w hotelu Commodore.

— Dobrze, stawimy się na oznaczoną godzinę, — odrzekł gospodarz i zręcznie zmienił temat rozmowy. Chodziło mu o przytrzymanie Wintersa jak najdłużej, żeby Gerber miał czas uprzedzić spólnika i powrócić na umówione miejsce. Rozpoczął więc wypytywać Wintersa o Burskiego i żalił się, że przez tyle lat nie dostał żadnej wiadomości od „starego przyjaciela". Ale Winters odpowiadał półsłówkami i rozmowa nie kleiła się.

Haneczka siedziała tymczasem zamyślona, oczekując chwili, kiedy będzie mogła odejść i przeczytać kartkę, daną jej przez Wintersa. Byłaby chętnie choć na chwilę oddaliła się do swego pokoiku, ale obawiała się wzbudzić podejrzenie, który przez cały czas baczną zwracał uwagę na każdy ruch gościa i jej samej.

Przyniesiono zamówioną przez Wintersa kolację, ale i wtedy gospodarz ani na chwilę nie spuścił oka z o-bojga jedzących. Udawał wesołego, dowcipkował, śmiał się rubasznie, ale niemniej pilnował, żeby ani słowa z sobą nie zamienili bez jego wiedzy.

Tak upłynęła godzina. Kilkanaście minut po pierwszej Winters zapłacił rachunek, pożegnał się z Haneczką i zeszedł na dół w towarzystwie Hardena, który nerwowo ściskał w kieszeni małą latarkę elektryczną.



Jeszcze jedno zdjęcie ze Stanów Zjednoczonych, które przed kilku dniami zostały nawiedzione klęską huraganu. Na środku ulicy miasta Gainsville (stan Georgja) widać samochód wśród rumowisk zniszczonych przez cyklon domów. Kierowca samochodu, którego burza chwyciła podczas jazdy, cudem wyszedł cało z katastrofy.

Odebrawszy od murzyna kapelusz i lekkie palto, Winters wyszedł z budynku, a za nim Harden, który chcąc do końca grać rolę uprzejmego gospodarza, odprowadzał gościa aż na dwór.

— Do widzenia, panie Winters — rzekł głośno, wyjmując z kieszeni latarkę. — Zobaczymy się więc pojutrze przed południem! Dobrej nocy!

Nieznacznie nacisnął guziczek latarki dwukrotnie. Dwa razy zajaśniało małe światełko i dwa razy zgasło. Sygnał dla Gerbera był dany.

Harden wszedł spowrotem do sali i jak zawsze kręcił się między stolikami, witając znajomych, przysiadując tu i owdzie, jowjalny i gadatliwy, jak gospodarzowi „Rajskiego Kącika" być przystało. A w myśli obliczał minuty i przenosił się na pobliską drogę, gdzie Gerber ze spólnikiem mieli w tym właśnie czasie napaść Wintersa i odebrać mu kamienie, które za kilka godzin najdalej znajdą się w jego, Hardena, posiadaniu.

* * *

Wyszedłszy z „Rajskiego Kącika", Winters poszedł wolno drogą w kierunku stacji tramwaju międzymiastowego i myślał o wydarzeniach tej nocy. Był pewny, że Harden nie zauważył, że Haneczka odebrała od niego kartkę, i myśl ta sprawiała mu żywe zadowolenie.

— Przeczyta i postąpi, jak jej polecilem. Jutro o tej porze będzie już w New Yorku pod opieką ludzi zacnych, wolna od niebezpieczeństwa ze strony tego draba. A jeżeli Harden — snuł dalej w myśli — przyjedzie pojutrze do mnie, powiem mu poprostu, żeby zrzekł się myśli ograbienia tego dziewczęcia. Wyobrażam sobie, jaką minę zrobi, gdy jutro Haneczka zniknie z domu...

Tak rozmyślając, doszedł do zakrętu drogi, gdy nagle spostrzegł, że z przeciwnego kierunku zbliża się ku niemu dwóch mężczyzn. Szli wolno, zataczając się, jak pijani. Winters chciał zejść im z drogi, gdy z przerażeniem ujrzał, że obydwaj byli zamaskowani czarnemi czustkami na twarzy. Stanął, jakby namyślając się co robić, gdy usłyszał groźny głos:

— Ręce do góry i ani pary z gęby, bo strzelam!

Równocześnie przed oczyma jego zabłysły w świetle wschodzącego księżyca dwie lufy rewolwerów.

— Napad! — pomyślał błyskawicznie. — Bandyci! Oddam im wszystkie pieniądze i zegarek, może zadowolnią się tą zdobyczą...

Podniósł ręce nad głowę i rzekł cicho:

— Ubogi jestem człowiek i niewiele przy mnie znajdziecie. Oddam wam wszystko co mam, tylko nie róbcie mi krzywdy...

— Sami znajdziemy — odparł ponuro jeden z opryszków. — Stać spokojnie, bo kula w łeb!

Winters zamilkł. Nie bał się o siebie, ale trwogą przejmowała go myśl, że pas z drogiemi kamieniami, posag Haneczki, może wpaść w ręce bandytów. Myśli jak błyskawice przelatywały mu przez głowę i w ułamku sekundy postanowił, choćby kosztem własnego życia, bronić powierzonego mu majątku sieroty.

Stał spokojnie pod lufą rewolweru i obojętnie patrzał, jak bandyta opróżniał mu kieszenie.

— Głupstwo — myślał. — Żeby tylko pasa nie znaleźli.

W tej chwili poczuł, że bandyta rozpina mu kamizelkę. Jeszcze kilka sekund, a dosatnie się do pasa...

W dali dał się słyszeć warkot motoru samochodowego.

— Czas działać — pomyślał i jak myśl szybko opuścił wzniesione ręce i całą siłą pchnął rewidującego go bandytę. W tej chwili poczuł, że na głowę spada mu jakiś niezmierny ciężar, i zwalił się nieprzytomny na drogę.

To drugi bandyta uderzył go z całej siły ciężkim rewolwerem.

Warkot motoru zbliżał się coraz bardziej.

— Na bok z nim — szepnął bandyta, który go zwalił. — W krzaki, bo tu ktoś jedzie. Tam go obszukamy...

Podnieśli go i we dwóch zaciągnęli w przydrożne krzewy.

W tej chwili samochód przejeżdżał tuż obok. Kierowca jechał wolno, jakby w oczekiwaniu, że spotka kogoś na drodze, ale nie zauważył i nie domyślał się, że przed chwilą na tem cichem miejscu dokonano napadu rabunkowego.

Kierowcą tym był Stefan Lubicz, który pełen niepokoju, czy Wintersowi udało się porozumieć z Haneczką, nie mógł wytrzymać w domu i pożyczywszy samochodu od znajomego, jechał na spotkanie Wintersa, obliczywszy sobie, że mniej więcej o tej porze będzie szedł ku stacji tramwajowej.

Nie widząc jednak nikogo na drodze, pomyślał, że Winters jeszcze nie wyszedł z „Rajskiego kącika", i postanowił poczekać na przyjaciela. Zatrzymał maszynę kilkanaście kroków dalej i wsparty na kierownicy spoglądał na drogę.

Tymczasem bandyci zdarli ubranie z nieprzytomnego Wintersa i odpinali pas z drogiemi kamieniami. Podczas tej czynności jednemu z nich zesunęła się chustka z twarzy i w tej samej chwili Winters odzyskał przytomność. Jedno spojrzenie wystarczyło, aby poznał napastnika.

— Gerber! — wydarł mu się lekki okrzyk z ust. — Gerber!

Spólnik Hardena zadrżał. Przed oczyma jego mignęły mury więzienia i zakratowane okna odosobnionej celi. Ujrzał się w pasiastym ubiorze skazańca i szał dziki ogarnął go jak płomień.

— Tak — zasyczał głosem tłumionym wściekłością, — Gerber, ale lepiej byłoby dla ciebie, gdybyś go nie poznał!

Z temi słowami chwycił za gardło leżącego Wintersa i zacisnął na krtani palce jak kleszcze. Winters zacharczał głucho i wyprężył się konwulsyjnie.

— Bij rewolwerem — szeptał Gerber do spólnika napadu. — Musi zdychać, bo inaczej Sing Sing nas czeka. Poznał mnie!

Na głowę nieszczęśliwego posypały się ciężkie razy. Pod uderzeniami rewolweru pękła czaszka i mózg obryzgał twarze morderców.

Winters leżał martwy z roztrzaskaną głową, a pochyleni nad nim bandyci gorączkowo odpinali trzos z kamieniami. W pośpiechu nie zauważyli, że z pasa wysypało się kilkanaście kamieni. Pochwycili skrwawioną zdobycz i jak duchy znikli w krzakach, które ciągnęły się szeroko, aż ku torom kolejowym.

Stefan, oddalony o kilkanaście kroków, dosłyszał kroki i trzask łamanych pod nogami gałęzi. Zaciekawiony, postanowił zbadać co się stało, a wyjąwszy rewolwer, odsunął bezpiecznik i wysiadł z samochodu. Idąc krok za krokiem, oświecał przestrzeń przed sobą kieszonkową latarką elektryczną i wkrótce doszedł do miejsca, gdzie Gerber zatrzymał Wintersa. W głębokim kurzu drogi widać było wyraźnie ślady kilku par nóg i odbicie leżącego człowieka. Dalsze ślady prowadziły w krzaki.

Nagle Stefan zadrżał. W kole światła latarki dostrzegł leżący na drodze kapelusz. Duży, szary kapelusz z szerokiem rondem. Kapelusz Wintersa!

Stanął jak skamieniały. Krew uciekła mu z twarzy, tylko oczy jaśniały chorobliwym, napół przytomnym blaskiem.

— Winters — wyszeptał zbladłemi wargami. — Napadli go... Muszę go ratować, może jeszcze nie zapóźno...

Trzymając rewolwer gotowy do strzału, wszedł ostrożnie w krzaki.

Dokoła była niczem nie zamącona cisza. Z daleka tylko dochodził odległy łoskot przejeżdżającego tramwaju.

Stefan postąpił kilka kroków, rozglądając się po krzakach, gdy nagle wzrok jego padł na leżącą postać Wintersa. Zimno mu się zrobiło na widok otwartych oczu, powleczonych szklistem znamieniem śmierci, i chciał cofnąć się, uciekać, ale przezwyciężył przerażenie i trzymając w jednej ręce latarkę, w drugiej rewolwer, przyklęknął przy zamordowanym.

— Nie żyje — wyszeptał. — Zamordowany!

Opuścił rękę z rewolwerem i zatoczywszy światłem latarki, dojrzał w trawie połyskujące kamienie. Powoli, jakby sił nie miał, podniósł się i począł je zbierać.

— To kamienie Burskiego — myślał. — Pozbieram je i oddam Haneczce. To jej własność.

Jak błędny zbierał kamienie i chował je do kieszeni. Nie liczył nawet ile ich znalazł... Nagle potknął się i upadł na trawę, tuż obok głowy Wintersa. Podniósł się i z przerażeniem spostrzegł, że obydwie ręce ma zmaczane krwią. Otarł je o poły marynarki i stanął, nie myśląc, się co uczynić, gdy do uszu jego doszedł odgłos zbliżających się kroków kilku osób.

Przytomność wróciła mu zupełnie. Chciał wołać o ratunek, gdy z pośród krzaków wynurzyło się kilka postaci ludzkich, z których jedna była przybrana w granatowy mundur z błyszczącemi guzikami.

— Policjant! — pomyślał i postąpił krok naprzód.

— Stać! — rozległ się donośny głos umundurowanego przybysza. — Stać i ręce do góry! Co tu się stało?!

— Zamordowany! — odrzekł Stefan, wskazując na leżącego Wintersa.

— A ty, co tu robisz?

— To mój znajomy, Winters, — odpowiedział Stefan. — Nie traćcie czasu, bo morderca musi być gdzieś niedaleko...

Policjant zwrócił się do jednego z przybyłych z nim.

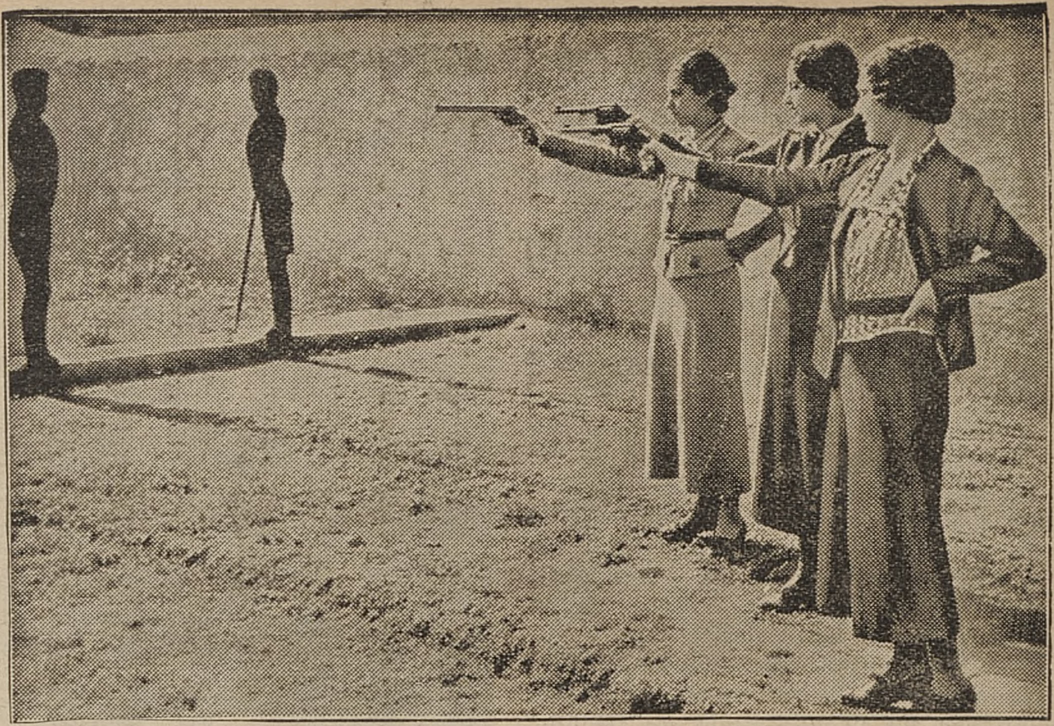
— Niech który z was jedzie po szeryfa — rzekł rozkazująco. — Ja tu zostanę i przypilnuję tego ptaszka.

— Jakto?! Mnie chce pan pilnować? — zawołał Stefan. — A tymczasem morderca ucieknie i zatrze ślady za sobą?

— To nie moja rzecz — odpowiedział zimno policjant. — Jesteśmy za miastem i sprawa należy do szeryfa. Pana zaś zatrzymuję nie jako policjant, tylko jako zwykły obywatel, bo takim jestem poza granicami New Yorku. Zastaliśmy pana skrwawionego przy zamordowanym człowieku w okolicznościach bardzo podejrzanych...

— Ależ ja przypadkowo tu się znalazłem... Jestem reporterem z New Yorku i...

— To już pan powie szeryfowi. Tymczasem radzę panu stać spokojnie i nie próbować ucieczki, bo... — pokazał wielki, policyjny pistolet automatyczny — widzi pan?



Studentki wszechnic Aten i Bonn, odbyły ostatnio ćwiczenia strzelania z broni małokalibrowej. Na zdjęciu naszem trzy greckie studentki na ateńskim placu ćwiczebnym, podczas strzelania do drewnianych manekinów.

Rozpacz ogarnęła Stefana. Chciał jeszcze coś mówić i już otworzył usta, gdy groźny głos policjanta i wymowny ruch ręką, uzbrojoną w pistolet, wstrzymały go. Objął szybko myślą swoje położenie i w mgnieniu oka zorjentował się, że warunki, w jakich ci ludzie go zastali, musiały nasuwać im na myśl, że to on właśnie zamordował Wintersa. Nie bał się o siebie, gdyż był pewny, że z łatwością potrafi oczyścić się z podejrzenia, ale bolał nad tem, że podczas gdy jego tu trzymają, morderca czy mordercy umkną bez śladu i potrafią skryć się przed karzącą ręką sprawiedliwości.

Zrezygnowany, opuścił głowę na piersi i stał w milczeniu, oczekując na przybycie szeryfa.

Po upływie kilkunastu minut policjant wezwał go, żeby usiadł na pniaku ściętego drzewa, i sam także usadowił się naprzeciw niego, nie spuszczając go z oka i nie przestając grozić mu widokiem lufy pistoletu. Mężczyźni, towarzyszący policjantowi, przedtem już rozsiedli się wygodnie na kupie zeschłych gałęzi i równie bacznie obserwowali Stefana.

Upłynęło dobre dwie godziny, zanim na drodze dał się słyszeć warkot samochodu, wiozącego szeryfa z pomocnikiem i wysłanego po niego człowieka.

Na dworze już szarzało. Samochód zatrzymał się przy krzakach i z maszyny wysiadł wysoki, tęgi mężczyzna w cywilnem ubraniu. Nie czekając, aż dwaj jego towarzysze powysiadają, szybkim krokiem przeszedł przez krzaki, kierując się blaskiem trzymanej przez policjanta latarki elektrycznej, i znalazłszy się nawprost Stefana, rzucił bystrem okiem dokoła i rzekł krótko, wskazując na połyskującą mu na klapie surduta gwiazdę:

— Jestem szeryfem tego powiatu. Kto mnie wzywał?

— Ja, szeryfie — odparł policjant, wstając.

— Kto pan jesteś? — spytał szeryf, nie zwracając uwagi na mundur.

— Jestem sierżantem policji z New Yorku. Przejeżdżając tędy kilka godzin temu, zauważyłem światło w krzakach i przez prostą ciekawość zatrzymałem maszynę i wraz z towarzyszącymi mi przyjaciółmi chciałem zbadać, co się tu działo. Ujrzałem leżącego na ziemi człowieka zamordowanego, a nad nim był pochylony ten oto młody człowiek, którego zatrzymałem. Reszta należy do pana, szeryfie.

— Dziękuję — odparł przedstawiciel bezpieczeństwa publicznego powiatu.

Wolnym krokiem, rozglądając się uważnie dokoła, szeryf obszedł zwłoki zamordowanego i stanąwszy przed Stefanem, zapytał krótko:

— Dlaczego zamordowałeś tego człowieka?

Stefan zerwał się z pieńka i patrząc wprost w oczy szeryfa, zaczął gorączkowo tłumaczyć, jak się stało, że znalazł się na miejscu zbrodni.

Szeryf słuchał w milczeniu, nie przerywając mówiącemu. Gdy Stefan skończył, szeryf spytał zimno:

— Czy masz broń przy sobie?



W jednym z angielskich banków załatwia się wszelkie tranzakcje bankowe za pośrednictwem odpowiedniego automatu, który wynaleziono niedawno w Niemczech. Automat ten wykonuje szereg formalności: po włożeniu odpowiedniej sumy do otworu, wyrzuca on sam kwity i jednocześnie fotografuje płatnika, a także księguje datę z dokładnem podanjem czasu. Przy tym aparacie można również uskutecznić zamianę obcych banknotów.

— Mam — odrzekł Stefan. — Mały, kieszonkowy rewolwer, na który mam pozwolenie. Jestem reporterem newjorskiego pisma...

— Gdzie jest ten rewolwer?

Stefan chciał sięgnąć do kieszeni spodni, ale szeryf wstrzymał go słowami:

— Nie rusz się. Sami znajdziemy. Stój spokojnie.

Mówiąc to, przystąpił i począł przetrząsać kieszenie ubrania Stefana. Wyjął rewolwer, kilka listów, portfel z pieniędzmi i oddawał wszystko swemu pomocnikowi. Wyjąwszy z kieszeni marynarki kilka błyszczących kamyków, obejrzał je przy świetle latarki i spytał:

— A to co jest?

— To drogie kamienie, które zamordowany miał przy sobie. Miał ich więcej, ale morderca widocznie w pośpiechu zabrał trzosik z niemi, nie spostrzegłszy, że kilkanaście wysypało się. Ja je pozbierałem.

— Tak. Hm... — mruknął szeryf.

Stefan wybuchnął:

— Panie, wy mnie podejrzywacie o zamordowanie tego człowieka, a tymczasem prawdziwi mordercy już są daleko! Popełniacie straszną omyłkę...

— To się pokaże. Na razie zajmiemy się tobą.

Położył mu rękę na ramieniu i rzekł podniesionym głosem:

— Aresztuję pana w imieniu stanu New York. Równocześnie oznajmiam, że wszystko, co powiesz, może być użyte przeciw tobie.

Stefan wiedział, że wszelki opór byłby daremny i mógłby tylko pogorszyć jego położenie. Nie opierał się też, gdy pomocnik szeryfa założył mu na rękę błyszczące kajdanki i poprowadził go do samochodu.

Szeryf tymczasem pozapisywał nazwiska i adresy obecnych i zapowiedział, że nie wolno im oddalać się, gdyż będą potrzebni jako świadkowie przy rozpatrywaniu sprawy przez „Grand jury", które zwoła lekarz powiatowy, koroner.

Zaprzysiągłszy policjanta jako swego tymczasowego zastępcę, polecił im pilnowanie zwłok aż do przybycia koronera, poczem wsiadł do samochodu i odjechał w kierunku powiatowego miasta, zabierając pomocnika i skutego Stefana.

Po godzinie jazdy Stefan znalazł się w okratowanej celi aresztu powiatowego, a zawiadomiony o zbrodni koroner bez zwłoki udał się na miejsce i urzędowo stwierdził śmierć zamordowanego Wintersa.

Tego jeszcze dnia odbyło się posiedzenie przysięgłych, zwołanych przez koronera, którzy, po przesłuchaniu świadków i obejrzeniu miejsca zbrodni, wydali werdykt, głoszący, że:

„Piotr Winters poniósł śmierć gwałtowną z rąk osób niewiadomych. Śmierć nastąpiła wskutek uderzeń przedmiotem ciężkim i twardym. Podejrzenie o dokonanie morderstwa pada na osobę aresztowanego na miejscu zbrodni Stefana Lubicza, którego przytrzymano w okolicznościach w wysokim stopniu obciążających. Wobec czego „Grand jury" poleca wdrożenie dochodzenia przeciw wspomnianemu Stefanowi Lubiczowi."

Werdykt ten jak grom uderzył w Stefana. Daremnie zapewniał o swej niewinności, daremnie przedstawiał przysięgłym, że Winters był jego przyjacielem. Na podstawie werdyktu przysięgłych osadzono go w więzieniu powiatowem, gdzie miał pozostawać aż do ukończenia śledztwa, prowadzonego przez szeryfa, któremu do pomocy miejscowy prokurator sprowadził specjalnego detektywa z New Yorku.

Wieść o morderstwie szybko rozniosła się po okolicy i już w godzinach rannych dotarła do New Yorku, skąd dzienniki wysłały kilkunastu reporterów i ci byli na sądzie koronera. W wieczornych pismach pojawiły się obszerne opisy zbrodni, ozdobione zdjęciami zamordowanego, miejsca zbrodni i oskarżonego o morderstwo, Stefana Lubicza.

Położenie Stefana było groźne. Znalezione przy nim kamienie stanowiły główny dowód rzeczowy, gdyż ani szeryf, ani prokurator nie wierzyli mu, że pozbierał je przy zwłokach Wintersa. Całemi godzinami męczyli go pytaniami w nadziei, że wymogą na znękanym więźniu przyznanie się do winy, a gdy Stefan, po raz setny powtórzywszy swe opowiadanie, widząc bezowocność tłumaczenia się, zamilkł i postanowił nie odpowiadać więcej, zniecierpliwiony prokurator zawołał w uniesieniu:

— Nie chcesz pan mówić? Dobrze. I bez tego potrafię udowodnić ci winę, a wtedy czeka cię niechybnie krzesło elektryczne! Gdybyś się przyznał, — być może, że sąd miałby wzgląd na twoje młode lata, ale dla zatwardziałego zbrodniarza, który wobec tak jasnych dowodów ośmiela bezczelnie zapierać się, względów nie będzie!

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

MARJA REUTT autorka „Zemsty Cyganki"

Co zazdrość może

ROMANS WSPÓŁCZESNY

4)

Wypukłe, okrągłe oczy gada świecą jakimś obezwładniającym blaskiem. Temi oczami patrzy śmierć. Niema gdzie uciekać: z przodu wał gąszczów nieprzebytych, z boków splątane rośliny utrudniają ucieczkę...

Profesor słyszał, jak drugi murzyn rzucił się do ucieczki, jak zatrzeszczały gałęzie pod jego stopami.

Profesor i murzyn, który pierwszy zwrócił uwagę na węża, stali, jak gdyby wrośnięci w ziemię, odrętwiali.

W duszy profesor żegnał się już z Wandą, dziękując jej za to krótkie szczęście, jakie mu dała swą miłością, za wiarę w ludzi, jaką mu wróciła. W tej swej ostatniej minucie widział całe swe życie ze wszystkiemi jego zawodami i przejściami. Myślał co się stanie z jego zbiorami. Wąż zaś, jak gdyby czując, że ci dwaj ludzie są już w jego mocy, że mu się nie wymkną, zwlekał z atakiem...

— — — — — — — —

Wtem stało się coś niespodziewanego. W chwili, kiedy wąż zniżył się i miała nastąpić katastrofa, na zieloną polankę padł cień. Ciemną plamą odbił się na dywanie leśnym i przed rozszerzonemi strachem oczyma obu mężczyzn zjawił się władca puszczy podzwrotnikowej — jaguar.

Oczy błyszczące jak dwa ognie utkwił w postaciach ludzkich.

Żółte źrenice zamigotały chciwie, cała postać wygięła się do skoku. Olbrzymia paszcza błyskająca białemi zębami otworzyła się szeroko.

Murzyn przysiadł na ziemi, jakby się chciał skryć za profesora. Lecz w tym momencie wąż zakołysał się silnie, poruszył się i runął na gotowego do skoku zwierza.

Zaczęła się niesłychana walka dwóch potworów puszczy podzwrotnikowej.

Jaguar wił się, drapał pazurami, gryzł zębami, ale długi i silny gad owijał się coraz silniej, coraz bardziej wokoło ciała zwierzęcia. Rosła siła uścisku, coraz słabsze były drgania ciała jaguara, coraz wolniej pazury jego drapały. Walka kończyła się zwycięstwem węża.

Profesor nie czekał już na ostateczny koniec tego pojedynku węża z jaguarem. Murzyn pociągnął go i ociężałemi nogami powlekli się obaj w kierunku namiotu.

— — — — — — — —

W namiocie zastał już Tomasza. Przywiózł go tutaj według instrukcji mulat z fazendy państwa Wawrzyniaków.

Profesor przywitał go nad wyraz serdecznie. Był stęskniony do towarzystwa ludzi białych, kulturalnych, ucieszył się również i tem, że widzi Tomasza zdrowego, ocalałego.

Ale Tomasz obecny nie był już tym samym Tomaszem, którego pamiętał przed wyjazdem.

Stał przed nim człowiek, a raczej cień człowieka, wychudły, pożółkły, o zapadłych przygasłych oczach.

Uścisnęli się serdecznie.

— Niewiele mi się tu przydasz jak widzę — zauważył z żalem profesor.

Tomasz uśmiechnął się smutnie. — Spróbuję. —

Długo w nocy siedzieli przy ognisku, paląc papierosy.

Tomasz opowiadał przyjacielowi o swej podróży morskiej, o katastrofie, zatonięciu okrętu, o swej chorobie. Nie wspomniał tylko nic o Wandzie. To była jego najdroższa, najsłodsza tajemnica, z której zwierzyłby się tylko matce.

— — — — — — — —

Na drugi dzień o świcie lunął deszcz, przeszła burza, ale nie ochłodziła powietrza.

Weszli w las, w którym panował mocny, duszący zapach storczyków, cynamonu, szafranu. Szli wolno, poprzedzani przez murzynów, którzy cięli ljany, rozgarniali gąszcz kłujących krzaków.

Tomasz szedł jak urzeczony. Nie wyobrażał sobie, żeby podobne dziwy natury mogły istnieć na świecie. Oczy bolały od jaskrawości barw, w głowie czuł zawrot i ociężałość.

Gdy wyszli z lasu zataczał się jak pijany.

— — — — — — — —

Rozpadał się deszcz, lał rano, w południe, wieczór.

By zabić czas porządkowali notatki profesora, których nazbierało się dużo. Zima brazylijska zbliżała się ku końcowi, a wraz z nią zbliżał się i koniec wyprawy naukowej.

W pewnym momencie profesor zawadził ręką o stos kartek szczelnie zapisanych, które spadły na podłogę. Wypadła z nich fotografja Wandy.

Tomasz schylił się, aby ją podnieść.

W tym momencie wydarł mu się okrzyk:

— Wanda!

Z fotografji uśmiechała się ku niemu słodka twarz ukochanej nad wszystko dziewczyny...

Okrzyk ten był dla profesora jakby ukłóciem w sercu. Zdziwił się i zapytał ostro:

— Skąd ty znasz moją żonę?

Tomasz odczuł wprost fizyczny ból w okolicy serca, jakby go ktoś ranił sztyletem.

— Więc ona jest twoją żoną? Więc żyje, jest uratowana?!

Profesor odpowiedział głucho, z trudem wymawiając słowa:

— Była o krok od śmierci, ale w ostatniej chwili uratowano ją.

Tomasz wpatrywał się z miłością w twarz ukochanej. Radość, że Wanda żyje, była w nim tak wielka, że w pierwszej chwili zagłuszyła zazdrość, iż jest żoną innego mężczyzny.

Tomasz w swej ogromnej radości, która obudziła się w nim w tym momencie, nie zauważył, że twarz profesora pokryła się wyrazem niezadowolenia, a w oczach jego zabłysły ognie zazdrości.

Szorstkim ruchem profesor wziął z ręki Tomasza fotografję Wandy i wsunął ją pod papiery.

Bolało go to, że Tomasz patrzył z rozrzewnieniem na podobiznę — jego żony.

A więc Tomasz kochał ją, to jasne i to kochał już wtedy, gdy on, jej mąż teraz, jeszcze Wandy nie znał, nie wiedział nawet o istnieniu.

Profesor przyjrzał się uważnie Tomaszowi. Przyjaciel jego, młodzieniec dwudziestokilkoletni, wysoki, zgrabny, rasowy, był urodzonym „zdobywcą kobiet". Wprawdzie i jego, profesora, kochały kobiety, wiele ich dawało mu wyraźnie dowody swej skłonności, pokochała go i Wanda — ale któż zbada zagadkowe głębie kobiecego serca, czy choćby tylko temperamentu lub kaprysu?...

Odbierze mi ją — oto była pierwsza myśl profesora.

— — — — — — — —

Tej nocy ani Tomasz ani profesor nie zmrużyli oka.

Jeden i drugi oddawał się rozpaczy, Stawiński z innego, Tomasz z innego powodu...

U niego, gdy przeszły pierwsze chwile radości, że Wanda żyje, przyszedł głęboki żal graniczący z rozpaczą.

Myśli Tomasza tej nocy, uczucia i wizje były najbardziej ponure. Przelatywały przez jego umysł gorzkie refleksje, drążyły mu serce obrazy rozpaczliwe, ponury, ujemny cień przesłaniał obraz Wandy, dotąd tkwiący w jego sercu, jak słodkie wspomnienie największego szczęścia w życiu. Ach, nie taką była Wanda, której obraz — wspomnienie pieścił w swem sercu, otaczał aureolą świętości i uwielbienia bez granic...

...Odeszła od niego, z jego objęć, w które tuliła się z taką ufnością w obliczu śmierci, gdy widmo ostatnich chwil życia stało przed nimi obojga. Ocalona, nie wiedząc nic o jego losie, poszła wprost w objęcia innego — bez żalu, bez myśli o nim, bez przeczekania okresu serdecznej żałoby, którą przecież winna była człowiekowi pierwszemu, jakiego kochała w życiu — jak twierdziła sama...

...A zatem kłamstwem było jej wyznanie, takie uroczyste, i kłamstwem pocałunek, gdy zaręczała ich śmierć na tonącym okręcie.

...Nie, Wanda nie kochała go — nie kochała go pierwszego — inaczej nie zostałaby tak łatwo i szybko żoną Adama...

— — — — — — — —

Tomasz leżał na posłaniu męcząc się bezsennością i wszystkiemi temi myślami. Przelatywały mu przez głowę i inne refleksje. Po co wybrał się do tej odległej zamorskiej krainy — czy po to tylko, aby spotkać na drodze miraż szczęścia i utracić je w sposób tak okrutny? Po co pojechał za Adamem — za tym niby przyjacielem, a w gruncie rzeczy człowiekiem obojętnym, przez którego zaznał goryczy największej utraty — utraty ukochanej kobiety?!... Po co wogóle wyjeżdżał z kraju, porzucał radziców, porzucał ludzi i stosunki, wśród których było mu dobrze?

Tutaj wszystko nie sprawia mu nic, prócz cierpień. Parna, brazylijska podzwrotnikowa noc ogarniała go jak dusząca zmora, osłabiała mu ciało, odhartowywała serce i nerwy. Gdyby mógł w jednej chwili lotem już nie ptaka, lecz pocisku, znaleźć się w Polsce! Wyrwać się stąd, gdzie życie jest katuszą fizyczną i moralną!...

Tomasz nie wiedział sam, że to choroba aklimatyzacyjna bierze go w swe władanie. Cały jego fizyczny organizm przechodzi przełom — przystosowywał się do nowego powietrza, nowego klimatu, innej temperatury. Niewiadomo, gdzie była granica między jego cierpieniami moralnemi a fizycznemi. Bolała go głowa i kości, w całem ciele uczuwał swędzenie od jakichś nieznanych wyrzutów, paliło go pragnienie. Rzucał się po posłaniu w męce, której zdaje się końca nie będzie. Ani chwili snu.

O, to nie Polska, gdzie noc przynosi spokój i ukojenie. Tutaj na domiar złego chmary komarów wciskają się do mieszkania, kąsają, nie można się opędzić od ich bolesnych ukłóć...

Wszystko razem złożyło się na to, że Tomasz czuł się jakby rzucony w otchłań rozpaczy — nieszczęśliwy, z rozdartem sercem, opuszczony przez wszystkich, bez jednego współczującego człowieka w pobliżu, a przytem tak bardzo chory...

Profesor nie miał nocy o wiele lepszej. Myśli jego i uczucia były również ponure.

— A więc Wanda, to niewinne słodkie dziecko, które, zdawało się, jego pierwszego pokochało z taką ufnością i bezgranicznem oddaniem się — miała w swem życiu tajemnicę i to tajemnicę związaną w jakiś dziwnie przykry i niepokojący sposób z Tomaszem... To było jasne po tym wypadku z fotografją! Tomasz znał ją przedtem, zanim on, profesor poznał Wandę. Znał i kochał... A czy ona, Wanda nie odpłacała Tomaszowi wzajemnością? Kto może odgadnąć wszystkie sekrety serca kobiecego? Nic mu o tem wprawdzie nie mówiła — ale to mogło znaczyć tylko, że się nie chciała przyznać.

— Więc Wanda, jego żona nie jest już jednak wyłącznie jego tylko ukochaną, — kochała przedtem innego, o którym „zapomniała" tylko dlatego, że zniknął on fizycznie z jej życia, a nasunął się ktoś inny, on, Adam... Mąż — ha ha! Najdroższy, ukochany, jedyny na świecie pan jej serca i myśli..., Och, jakże mężczyźni są łatwowierni!...

Głowa mu pękała od naporu tych myśli rozpaczliwych i beznadziejnych. Po co żyć?! Profesor czuł, że nagle wokół niego w całem jego życiu wytworzyła się pustka przeraźliwa, której nic już nie wypełni.

Nie mógł uleżeć w dusznem zamknięciu i wyszedł, aby odetchnąć przecież świeższem jakiemś powietrzem.

Na dworze gwałtowny deszcz podzwrotnikowy ustał już zupełnie. Na wypogodzonem niebie na ciemno-granatowej głębi błyszczały gwiazdy jak olbrzymie brylanty, księżyc siał srebrzyste blaski i jaśniał Krzyż Południa. Od rzeki szedł chłód i rechot żab, — ale nie była to ta spokojna, harmonijna niemal muzyka, jaką jest chór żabi w Polsce. Był to prawdziwy rechot, jakby szatanów śmiejących się szyderczo z nieszczęścia człowieka — rechot potężny, donośny, różnorodny, w którym słychać było wszelkie możliwe głosy: to jakby wyraźne gdakanie kur, to terkot jakiejś maszyny, to huki jakby bijących młotów albo płacz dziecka, które ktoś krzywdzi.

Profesor przyzwyczaił się już wprawdzie do tych głosów nocy podzwrotnikowej, ale mimo to nie mógł się otrząsnąć od przykrego dreszczu... Lecz niezadługo wewnętrzny ból i ponure myśli zagłuszyły wszelkie zewnętrzne dźwięki. Z oczami utopionemi w ciemniejącej dżungli Adam nie słyszał nic tylko bicie własnego, tak straszliwie cierpiącego serca — na tle ciemności nocnych wykwitała przed nim wizja: obraz Wandy o twarzy uśmiechniętej, jasnej, anielskiej, o wyrazie niewinnego dziecka — a przecież tak zdradzieckiej...

— Lecz może to wszystko są to tylko przywidzenia jego zgorzkniałego serca? Cóż stąd, że Tomasz tak łakomie patrzył na jej fotografję? — Może ją kiedyś rzeczywiście znał, może się nawet w niej kochał — ale ona czyż koniecznie musiała mu się odwzajemniać? Ot, przelotna znajomość — nikt przecież nie może zabronić pięknej dziewczynie, ażeby się w niej mężczyźni nie durzyli. Nie, ona była szczera, ona jego tylko naprawdę kochała. Ślubowała mu miłość i wierność sercem dziewiczem, które dla niego tylko biło. Wszelkie inne myśli o Wandzie były dla niej tylko obrazą — za którą profesor już w myśli ją przepraszał, obejmując jej kolana i całując ręce z pokorą...

— — — — — — — —

Ten zwrot w myślach, jak również świeżość ochłodzonej trochę nocy przyniosły mu ukojenie i spokój. Wrócił do siebie. Opodal murzyni spali mocno — potężne ich chrapanie dochodziło aż tutaj, tliło się jeszcze w ciemnościach ognisko. Tomasz spał również, ale sen jego był niespokojny. Jęczał i rzucał się jakby z kimś walczył, to znowu jakby się przed czemś bronił.

Ranek obudził profesora rzeźkim — ale Tomasz nie wstał. Najwyraźniej był chory i to ciężko. Widać było, że trawi go gorączka. Szeroko otwartemi, nieprzytomnemi oczami wodził po ścianach i coś szeptał sam do siebie spalonemi ustami. Gdy profesor zbliżył się do niego, poczuł żar bijący od chorego. Wyglądało to na poważną chorobę — może śmiertelną?

Profesor z miejsca zrobił to, co się robi z choremi, na których rzuca się gorączka brazylijska: dał mu zażyć proszek chininy, przyłożył zimny okład na głowę, napoił odwarem herbaty.

Tomasz nie poznawał go zupełnie. Szklanemi oczyma patrzył na otoczenie, jakby nic nie widział. Widać było, że pomimo gorączki i nieprzytomności, opanowany jest jedną jakąś upartą myślą. Rozkładał rękoma po posłaniu i monotonnie skarżył się cichym głosem:

— Wando! Wando! Więc twój pocałunek nic nie znaczył?...

Chwilami skarga ta przechodziła w głośny jęk.

— Wando, lepiej było mi nie mówić, że mnie kochasz — jak po tem wyznaniu mogłaś iść za innego?!...

I znowu wracała poprzednia skarga. A gdy zmęczony mówieniem zacichał na chwilę, to po jakimś czasie zrywał się wydając tylko jeden okrzyk, nabrzmiały tęsknotą:

— Wando! Wando!...

Można sobie wyobrazić, co odczuwał profesor, słuchając tych majaczeń chorego, które były wymowniejsze niż najbardziej szczere świadome wyznanie. Złe myśli jego o Wandzie wracały — cierpiał razem z chorym Tomaszem, z tego samego powodu, choć z innym kierunkiem uczucia. I on, jakby do wtóru Tomaszowi, rozkładał ręce, to znowu zaciskał je aż palce trzeszczały w stawach i on szeptał z wyrzutem do tej samej nieobecnej:

— Wando, po co kłamałaś przedemną miłość, jeżeliś kochała tamtego?! A może oszukiwałaś nas obu?...

Rozpacz targała nim na nowo — albo znowu przechodziły chwile jaśniejsze, myśli, czy to wszystko jednak nie było jakiemś straszliwem nieporozumieniem.

— Przecież to niemożliwe, aby te oczy tak niewinne mogły kłamać, aby mogły serdecznem spojrzeniem udawać uczucie, którego nie było w sercu. aby te słodkie usta wymawiały kłamliwe słowa — na zimno, bez zająknienia!... Przecież nie mogły być udane te pieszczoty, ufne i słodkie oddanie się, błyski bezgranicznej radości w oczach?...

Lecz, jak straszliwy zgrzyt rzeczywistości, kładły tamę powrotnej fali zaufania nowe skargi dobiegające od łoża chorego — poczynające się na nowo majaczenie Tomasza,, powtarzającego wciąż to samo słodkie imię Wandy, z temi samemi, tak samo uprawnionemi, wyrzutami skierowanemi do niej... Niewątpliwie obaj mieli do niej prawo miłości — lecz czyje dawniejsze, czyje silniejsze?

Po dwóch nocach takiej męki w uczonym zwyciężył egoizm. Obudził się w nim mężczyzna zaborczy, egoistyczny.

— Nie oddam jej nikomu — zbuntował się.

Po paru dniach Tomaszowi zrobiło się lepiej.

— Czy nie mówiłem czego w gorączce? — pytał z niepokojem.

— Dużo plotłeś bez sensu i składu, zwyczajnie jak w gorączce — odpowiedział profesor wymijająco, nie patrząc mu w oczy.

Tomasz próbował wstać.

Chwiał się na nogach, kręciło się w głowie, mdliło w gardle.

— Wiesz, Tomaszu, że lepiej będzie, jak wrócisz do domu i to jak najprędzej.

— Masz rację — zgodził się Tomasz.

— Pojedziesz jutro. Zabierzesz ze sobą te wszystkie okazy roślin, owadów i gadów, które zebrałem lub schwytałem i oddasz wszystko prezesowi Burzyńskiemu do przechowania do mego przyjazdu, żywe okazy przekażesz ogrodowi zoologicznemu w Warszawie. Mam sześć okazów żmij, kilka odmian żab brazylijskich, parę ptaków, z dziesięć różnego gatunku jaszczurek. Gady i płazy zasypiają na zimę, więc łatwo je ci będzie przewieść...

— Missi, Missi — wołał mulat, wpadając do namiotu — duża koralowa żmija przypełznąć... wielce gruba...

Profesor zerwał się z krzesełka i wyszedł z namiotu. Za nim potykając się i zataczając, podążył Tomasz.

Na zielonej murawie leżało wijące się cielsko żmiji. Ruchy jej były powolne, ociężałe, ciało napęczniało jakby opuchłe.

Murzyn trzymał jej głowę w widełkach sporządzonych przez profesora dla chwytania gadów.

Żmija syczała groźnie, ale prężyła się leniwie i jakby z trudem. Profesor wyniósł potrzebne szczypczyki, fiolki i umiejętnie zręcznemi palcami usunął trujące zęby, wycisnął jad.

Chwilę patrzył na wzdęte cielsko. Przez twarz przebiegł mu skurcz, rysy stężały na chwilę. Zastanawiał się nad czemś.

— Zabierzesz i tę żmiję. Chciałbym bardzo, byś ją zawiózł żywą.

— Dobrze, — zgodził się Tomasz biernie. — Jedna więcej, jedna mniej, niema znaczenia.

Profesor namyślał się, wahał, jakby toczył walkę ze swem sumieniem, wreszcie rzekł:

— Ale ta żmija jest ciężarna i może w drodze urodzić małe.

Tomasz wzruszył ramionami. — Tem lepiej, od przybytku głowa nie boli.

Profesor odetchnął z ulgą. Tomasz za to brał sam na siebie odpowiedzialność. Sam sobie gotował los...

* * *

Na samem odjezdnem, siadając do łodzi wypełnionej klatkami, pudełkami i skrzyneczkami, Tomasz żegnając się z profesorem zapytał go: — Czy dasz mi jakie polecenie do twojej żony?

— Nie, moja żona nie powinna i nie będzie wiedziała się z tobą. I jeśli masz choć trochę poczucia honoru...

Tomasz odjechał.

Profesor po kilku dniach zupełnej samotności pod wpływem tęsknoty za Wandą, postanowił wrócić do Kurytyby, a stamtąd do kraju z żoną i resztą zbiorów.

Termin powrotu do kraju był już bliski, notatek cała teczka, no i okazów i tych co wysłał i tych co zebrał po wyjeździe Tomasza, pokaźna ilość. Nie było celu przedłużać pobytu tembardziej, że zbliżała się pora deszczowa.

Gdy podjechał pod domek, otoczony krzewami róż i palmami, w którym pozostawił Wandę, wydał mu się dziwnie cichy.

Na jego dzwonek długo nikt nie odpowiadał.

— Gdzie pani? — wykrzyknął pytanie, gdy wreszcie ogrodnik otworzył mu drzwi.

— Nie wiem. Pani gdzieś wyjechała, nie powiedziała dokąd...

— Pani gdzieś wyjechała?! — powtórzył odpowiedź służącego głosem, w którym bezgraniczne zdumienie mieszało się z przerażeniem. — Jakto, kiedy? z kim? dokąd?

Nie czekając na odpowiedź na te wszystkie pytania, które zadawał raczej sobie samemu, profesor odsunął ogrodnika i wbiegł do wnętrza mieszkania. Znalazł się na początku w pokoju jadalnym: rozpaczliwym, spragnionym wzrokiem rozejrzał się wokoło — pokój był pusty. Jak oszalały przebiegł wszystkie dalsze pokoje i zakątki mieszkania — były również puste. Martwota wiała z tego gniazdka, które usłał dla swego szczęścia, w którem przeżył najwyższe upojenia, które ożywiała i wypełniała sobą ona — nie, to nie do pojęcia! Oparł się bezwładnie o ścianę w jakimś pokoju, nie zdawał sobie sprawy, w którym — zdawało mu się, że upadnie...

Oto potwierdzenie tych najgorszych możliwości, które zwidywały mu się w snach, gdy obok Tomasz — jego rywal, to nie ulega już wątpliwości — w gorączkowych majaczeniach namiętnie powtarzał imię Wandy. Porozumieli się — i on teraz został opuszczony. Jakże go oszukały marzenia, te słodkie marzenia, w których powrót do domu, gdzie czeka na niego Wanda ze stęsknionemi ramionami, wydawały mu się jedną zjawą szczęścia! Chwila, która miała mu dać radość najwyższą, stała się dla niego katuszą. Rzeczywistość potwierdziła najbardziej wrogie przeczucia, najgorsze domysły. To Tomasz miał do niej pierwsze i silniejsze prawo — nie on, który był drugim, a może trzecim?...

A jednak nie, to niemożliwe — to jakieś złowrogie przywidzenie, nieporozumienie, które się zaraz wyjaśni! Przecież mogli ją gdzieś wezwać, mogła wyjechać za jakąś niecierpiącą zwłoki sprawą. Zaraz, to musi być stwierdzone — to musi się wyjaśnić!

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

ADRESY!

O adresy, celem przesłania listów znajdujących się w redakcji, są proszeni: „Gorzki Orzech" — „Terenia z pod Wrześni" — „Elżunia" — „Wesoła Ślązaczka" — „Czarnulka ze Świecia" — „Dziewczę z Pomorza" — „Żukowianka" — „Wesoły Łobuz z Warszawy" — „Lutek" — „Wesoły Toruniak" — „Lotnik z Pomorza" — „Aloha" — „Bezinteresowny" — „Zawisza Czarny."

O SZCZĘŚCIU I SMUTKACH

„Smutna Indjanka". W ostatnim liściе Pani nie tkwi już smutek, ale pesymizm. Próżne są słowa tam, gdzie w grę wchodzi upór i zgorzkniałość, ale u Pani jest dużo serca i dobrej woli, więc raz jeszcze proszę Panią o porzucenie tych wszystkich niepotrzebnych, melancholijnych refleksyj. Jeżeli Panią skrzywdziła jedna lub dwie osoby, nie wolno Pani ustosunkowywać się do wszystkich ludzi wrogo i jeżeli ma Pani jedno przykre doświadczenie poza sobą nie wolno Pani mówić: „nie ma dla mnie już szczęścia na świecie". Dlaczego? Każdy człowiek ma prawo do szczęścia i zawsze je znajduje, chociaż drobne i małe, tylko musi je potrafić odszukać i zdobyć. Szczęście samo do rąk nie przychodzi, nie można na nie czekać z założonemi rękoma, ale zawsze zjawia się tam, gdzie człowiek go pragnie i pożąda i dąży do niego, a nie zasklepia się w swoich smutkach i wyolbrzymia je do tragedji.

Droga Pani! Chociaż przesyłam Jej te kilka słów pod uwagę, proszę mnie nie posądzić o zniecierpliwienie Jej słowami. Nie, o tem nie może być mowy. Sprawa Pani leży mi bardzo na sercu i dlatego odpowiedzi moje posiadają nieraz cechę szorstkości, która nie jest niczem innem, jak tylko środkiem sprowadzenia Pani z błędnej i niewłaściwej drogi.

Na zakończenie zamieszczam kilka zdań Pani:

„Przesyłam wszystkim Czytelnikom „Moich Powieści" miłe pozdrowienia. Osobne dla: „Gałązki Świerku" — „Ofiary losu" i „Nieszczęśliwej", również dla „Leta".

A teraz jeszcze jedno: Uwaga, Sympatycy z Poznańskiego! Kto z Was zna p. Marjana Śmiłowskiego, niech Mu prześle miłe pozdrowienia od kogoś rzuconego losem na dalekie Pomorze, w zapadłą okolicę".

WYPOŻYCZENIE KSIĄŻEK

„Szczęśliwa". Bardzo się cieszę, że po dwóch latach namysłu, zdecydowała się Pani wreszcie do mnie napisać. Witam Panią w naszem gronie i udzielam wszelkich wiadomości o Pani. Czynię to za pomocą Pani listu:

„Jestem żywem, wesołem stworzeniem. Lubię muzykę, dobre książki i śliczne robótki, które w wolnych chwilach wykonuję. Czuję się bardzo szczęśliwą i zadowoloną z życia.

Do Czytelników „Moich Powieści" mam ogromną prośbę: może ktoś posiada książki: „Chata Wuja Toma" i „Chata za wsią"? Jeżeli tak, czy mógłby mi pożyczyć?

„Zdobywca Serc" pisze, że czuje się osamotniony, więc niech zdobędzie się na odwagę i do mnie napisze. Odpowiem Mu wesołym i szczerym liścikiem.

Pozdrawiam serdecznie wszystkie moje „Siostrzyczki" z „Krainy".

POZDROWIENIA

„Luśka z Trok" dziękuje p. „Waldemu" i „Jerzemu" za miłe pozdrowienia, które odwzajemnia uściskiem dłoni.

„Pellowi" również dziękuje za pozdrowienia i wzamian przesyła wiele serdeczności.

„Natanowi" wraz z siostrzyczką Jadzią śle miłe pozdrowienia.

Wszystkim Czytelniczkom i Czytelnikom „Moich Powieści" — moc serdecznych pozdrowień z słynnego, wileńskiego „Kaziuka".

GRONO NASZE ZNOWU SIĘ POWIĘKSZYŁO...

„Człowiek z ludu." Odwaga Pana przyniosła bardzo dobry skutek, gdyż dzisiaj przyjmuję Pana do naszego grona, a oprócz tego przedrukowuję część liściku Pana:

„Zgodnie z utartym zwyczajem przedstawiam się całej „Krainie": Jestem blondynem wysokiego wzrostu o niebieskich oczach.

Przesyłam serdeczne pozdrowienia: „Białej Uajali" — „Wiejskiemu Motylkowi" i „Maleńkiej Tajemnicy". „Takie małe coś z loczkami" zapytuję, czy możnaby z Nim nawiązać korespondencję? Pozdrawiam również „Ord-Oma" — „Stellisa" i „Idealistę Pałuckiego". (Czy ten ostatni nie mógłby coś do mnie napisać?)".

GŁOS Z ŚLĄSKIEJ ZIEMI

„Strzybniczanka". „Jestem Ślązaczką. Mieszkam przy samej granicy niemieckiej. Moim nieodstępnym towarzyszem jest rower. Urządzamy razem kilometrowe wycieczki i dzięki temu, chociaż mieszkam na wsi, nie odczuwam nigdy nudów. Jestem wielką miłośniczką sportu, a przedewszystkiem wielkim łobuzem.

„Zachwycam się wierszykami „Białej Uajali" i „Jadźki z Kujaw." Zasyłam serdeczne pozdrowienia wszystkim chłopczykom w mundurkach."

Liścik powyższy nadesłała na moje ręce pewna, bardzo miła osóbka, mieszkanka dalekiej, śląskiej ziemi. Przesyłam Jej zdala uśmiech przyjaźni i pasuję Ją na sympatyczkę „Krainy".

MONOTONNOŚĆ ŻYCIA

„Ananke". Pragnienie Pana spełniam i zaliczam Go do członków naszej ogromnej „Rodzinki". Ucieszę się ogromnie, gdy mi prześle Pan znowu taki szalenie miły liścik, jak ostatni i zawsze pozostanie Pan wierny „Moim Powieściom."

Wierszyk — słaby. Część listu Pana przedrukowuję, gdyż chcę, aby wszyscy poznali nowego Sympatyka „Krainy":

„Kocham podobnie, jak wszyscy Sympatycy „Krainy", cały świat i wszystko, co na nim piękne, słoneczne i szlachetne.

Ulubionem mojem zajęciem, poza pracą, to samotne, dalekie wycieczki w pełne piękna i czaru okolice puszcz tucholskich. Tam żyję i oddycham świeżością natury. Jestem trochę marzycielem, lecz nie takim, aby zasługiwać na naganę.

Czy znajdzie się ktoś w „Krainie", który skreśli do mnie kilka słów? Czuję, że korespondencja z Nieznajomymi stanie się dla mnie miłem i nadzwyczaj interesującem wydarzeniem, gdyż życie moje chwilowo jest bardzo monotonne.

Wszystkim Sympatykom „Krainy" zasyłam moc pozdrowień i dużo serdeczności. Osobne pozdrowienia przesyłam gorliwym Czytelniczkom „Moich Powieści" p. Nel. Ekowskiej i p. Trudzi Figurskiej ze Skórcza, prosząc Je, aby postarały się wstąpić w szeregi Sympatyków „Krainy".

„CZY ZAPOMNIAŁYŚCIE O MNIE?"...

„Lenka". „Króciutki" liścik Pani odebrałam. Żałowałam, że nie był dłuższy. Spodziewam się, że następnym razem otrzymam więcej słów.

Zdania, przeznaczone dla Sympatyków — przedrukowuję:

„Steniu" i „Maryśko"! Czy zapomniałyście o mnie, Kochane Dziewczynki? Ślę Wam pozdrowienia!

„Rysiu"! Może napiszesz do mnie? Chciałabym z Tobą nawiązać korespondencję.

Dla „Dyzy" — „Stena" i „Pella" — ślę śliczne pa!"

ODEBRAŁAM

„Ideał — Romantyk". List z podziękowaniem odebrałam. Wzruszyło mnie bardzo, że Pan za tak drobną przysługę odwdzięcza się tak szczodrze i hojnie. Serdecznie pozdrawiam.

JESZCZE O NUDACH

„Czytelniczka z Poznańskiego". Skarży się Pani na nudy. Mój Boże! ile podobnych skarg słyszę na każdym kroku. „Nudy" to taka względna rzecz. Nieraz człowiek jest sobie sam winien, że się nudzi, a nieraz nudy są tylko stanem przejściowym. Najlepiej nie przejmować się niemi, lecz postarać się o środki zapobiegawcze przeciw nim. Wystarczy zająć czemś umysł, zabrać się ochoczo do pracy, a napewno nudy miną. Oto moja rada.

A teraz sprawa korespondencji. Życzę szczerze, aby Pani napotkała pokrewną sobie duszę i w listownych dyskusjach znalazła prawdziwe zadowolenie. Bratnią duszę jest bardzo trudno napotkać, ale wytrwałość jest zawsze nagrodzona pomyślnym skutkiem, więc niech Pani będzie pełna nadziei. Kończę już i serdecznie Panią pozdrawiam.

„JEST MI NIERAZ BARDZO SMUTNO"...

„Daletta". „Jestem Poznanianką, ale już od dwóch lat przebywam u wujostwa, na wsi, na Pomorzu. Jest mi nieraz bardzo smutno, gdyż chociaż jestem jeszcze młodą, przeżyłam już wiele czarnych godzin w życiu. Chciałabym sobie umilić życie korespondencją z Sympatykami „Krainy".

Nazywają mnie „sarenką". Mam niebieskie oczy, średni wzrost i jasne włosy. Obecnie pracuję na poczcie i jedynem mojem życzeniem jest poznać jakąś bratnią duszę. Może znajdę ją w naszej ogromnej „Rodzince"?"

Liścik powyższy polecam łaskawiej pamięci wszystkich. Niech smutne serduszko nie czeka daremnie za pogodnemi i dobremi słowami.

TROCHĘ „FILOZOFJI"

„Fleur." W odpowiedzi na list Pana, w którym poświęca Pan kilka słów „Krainie", przytaczam Panu porównanie, mające związek z refleksjami Pana.

„Słyszałem raz gdzieś, że każdy liść na drzewie jest odmienny. Chciałem się kiedyś utwierdzić, czy to polega na prawdzie. Zerwałem więc kilka gałązek okrytych liśćmi i podjąłem się obserwacji. Koniec końców przyszedłem do wniosku, że tak istotnie jest — każdy liść był inny..." — pisze Pan w swoim liście.

Otóż, proszę Pana, tak samo przedstawia się sprawa z ludźmi. Podobnie, jak każdy liść jest różny, jest i odmienny jeden od drugiego charakter ludzki. Stąd wypływa niejednokrotnie wśród ludzi dysharmonja i brak wzajemnego zrozumienia. To, co jedni uważają za słuszne, potępiają i nie uznawają inni. Powodem tego jest oczywiście zawsze różnica charakterów i usposobień. Dopóki ona będzie istniała, dopóty będą w życiu nieporozumienia, starcia i niezadowolenia i brak będzie zupełnej harmonji. Dlatego, niech nie dziwi Pana, że różne są zdania nawet o „Krainie". Jakie posiada ona zadanie, określił Pan jak najtrafniej. To właśnie mnie ogromnie ujęło i za to ściskam Panu po przyjacielsku dłoń.

APEL Z PRZYJEMNOŚCIĄ ODDAJĘ DO DRUKU

„Spragnione Serce". Dziękuję Panu za długi list i zawarte w nim życzliwe słowa. Z przyjemnością oddaję apel Pana do druku i życzę dużo szczęścia w nawiązaniu korespondencji.

„Jestem młodym szatynem o piwnych oczach. Nie posiadam żadnych pięknych cech zewnętrznych, ale za to dużo innych zalet. Lubię bardzo szczerość i nie znoszę zdrady i fałszu. Powszechnie jestem lubiany i darzony dużą sympatją. Lubię szalenie jeździć rowerem, a w lecie kąpać się i plażować.

Pragnąłbym nawiązać korespondencję z sympatyczną Czytelniczką, (nie wyłączam również Czytelników!) o zaletach podobnych moim".

JEŻELI CI BĘDZIE SMUTNO — NAPISZ ZNOWU

„Złotowłosa Haluś.“ Po przeczytaniu Twego listu, „Halusiu“, przyszły mi na myśl następujące słowa H. Sienkiewicza:

„Dusza ludzka jest jak ptak: kiedy wzbije się na pewną wysokość, nie wolno jej spocząć, ale musi tęgo skrzydłami pracować, by się na niej utrzymać...“

Słowa te przesyłam Ci, Kochanie i zagrzewam do wytrwania w ...m. Jeżeli będzie Pani kiedyś bardzo smutno, proszę znowu do mnie napisać.

Pan E. D. nie jest sympatykiem „Krainy“. Pozdrowienia: „Białej Uajali“ — „Bajce“ — „Tęsknocie“ — „Arsenowi“ i „Rom-Marowi“ — przekazuję.

WYSTARCZY

„Wandzia z B.“ Zapewnienie Pani zupełnie mi wystarczy. Wierszyki, o które się Pani zapytywałam, pójdą już teraz wszystkie do druku. Ostatnio nadesłane wiersze są słabsze. Zasadniczym ich błędem to nieprawidłowy rytm. Musi Pani dużo czytać poezji, gdyż inaczej nie pozna Pani tajemnic i prawideł dobrej rytmiki.

Na zakończenie dziękuję Pani bardzo za sympatyczny liścik, serdecznie Panią całuję i czekam skolei na kilka słów.

POZDROWIENIE

„Czyt. z Pruskiego“ przesyła milutkie pozdrowienia „Starszemu Czytelnikowi z pod Śremu“, oraz następujące słowa: „Niestety, nie jednaki cel... Odpowiedź listowna później.“

Z RADOŚCIĄ...

„Sikoreczka“. Ot, doczekała się wreszcie Pani odpowiedzi...

Dowiaduję się z listu, że ma Pani ogromną ochotę wpaść do Żnina. Bardzo dobra myśl! Z radością powitamy Panią w redakcji i chętnie z Panią porozmawiamy. Do wakacji jeszcze dość daleko, więc mam nadzieję, że uda się Pani jeszcze przekonać Rodziców.

Załączone przez Panią do listu pozdrowienia przekazuję z miłą chęcią: „Bajce“, — „Zaczarowanej Cyganeczce“ — „Samotnemu Tarzanowi“ — „Geńkowi“ — Samotnemu Romowi“ i „Marzycielowi z pod Kościana“.

„NAPISZCIE DO MNIE“

„Jadwinia“. Czy Pani zadowolona z mego wyboru? Proszę mi o tem coś napisać!

„Chciałabym znaleźć kogoś szczerego, któryby potrafił podzielić ze mną wszystkie troski i radości. Napiszcie więc do mnie, a potrafię Wam się za to odwdzięczyć.

Jestem brunetką o figlarnych oczach pełną werwy i radości.“

Drodzy Sympatycy! Chyba postaracie się o to, aby króciutki, miły liścik „Jadwini“ nie minął bez echa?

BRAK ODPOWIEDNIEGO TOWARZYSTWA

„Lili“ i „Lidka“ piszą o sobie: „Mieszkamy w dalekiej, zapadłej wiosce, gdzie brak zupełnie odpowiedniego towarzystwa. Tęsknimy do ludzi kulturalnych. Może ktoś skreśli do nas kilka radosnych słów i wniesie do naszego życia trochę odmiany? Ucieszy nas liścik od „Dzieniusia z Torunia“ i „Samotnego Agronoma“. Przesyłamy całej „Rodzince“ milutkie pozdrowienia. Uznanie za śliczne wierszyki: p. Danucie Wyrybkowskiej — „Białej Uajali“ — „Jadźce z Kujaw“ — p. Marychowi Binkowskiemu — „Ord-Omowi“ i „Te-Em.“

ZAPYTANIE

„Leśna Boginka“. „Czy w „Krainie“ znajdzie się jakaś osóbka, któraby napisała do mnie miły liścik?“

Może ktoś odpowie na powyższe pytanie? „Leśna Boginka“ jest uroczą dziewczynką — Pomorzanką o ciemnych włosach i niebieskich oczach.

PRZEŚLIJCIE KILKA SŁÓW

„Czarnobrewka II“ — młoda panienka o błękitnych oczach, chętnie nawiąże skimś korespondencję. Zainteresowała się następującymi sympatykami: „Pensjonareczką“ — „Tancerzem“ — „Lotnikiem z Pomorza“ — „Młodym Żołnierzykiem“ — „Wesołym Kozaczkiem“ — „Zdobywcą Serc“ i „Jastrzębiem z Borów Tucholskich“. Może wymienieni Panowie zrobią „Czarnobrewce“ miłą niespodziankę i prześlą Jej kilka słów?

PIERWSZY WIOSENNY POWIEW W „KRAINIE“

„Majowy Chrabąszcz“ wraz z wiosną pojawił się w „Krainie“ i przyniósł z sobą kilka radosnych słów: „Wszystkim Sympatykom „Krainy“ przynoszę tchnienie wiosny. Radujcie i cieszcie się znowu! Wiosna już idzie — chwilka, a zapuka do Waszych drzwi.

Jeśli która z Sympatyczek zaciekawi się mną — niech śmiało napisze. Z przyjemnością odebrałbym list od: „Leśnej Rusałki“, „Ninki“, „Alohy“, „Smutnej Niny“ lub „Białej Uajali.“ Bywajcie!“

SAMOTNOŚĆ

„Syn Dniestru.“ Niżej podaję bardzo prosty i bardzo miły apel „Syna Dniestru“. Może kogoś apel ten zainteresuje i może ktoś odpowie na niego echem?

„Jestem blondynem. Wzrost mój wynosi 168 cm. Liczę lat 25. Losy życia zagnały mnie w dalekie strony. Dla chleba porzuciłem moje rodzinne, ukochane miasteczko i zamieszkałem tutaj wśród niezgłębionych i tajemniczych lasów. Samotnie mi nieraz i smutno. Z chęcią odebrałbym od kogoś miły liścik. Pozdrawiam serdecznie „Samotną Dzidzi.“

SŁONECZNY LIST

„Manola“. Droga „Manolo“! Ten „ktoś ogromnie dobry i miły“ uśmiechnął się promiennie po odczytaniu Twego listu, bo list ten był jakąś cudowną niespodzianką. Są różne dobre listy. Jedne pełne jasnych i ciepłych słów inne wyzłocone pięknem myśli lub serdeczną życzliwością, ale list Twój, Nieznana, Dobra Panienko, był dla mnie słonecznym uśmiechem wiosny. Poetyczne to porównanie nasunęło mi się już po odczytaniu pierwszych wierszy listu...

„Ktoś ogromnie dobry i miły — to właśnie... Pani. Uśmiechają się Twoje słowa jasno, serdecznie. Taki masz miły sposób, Pani Zosieńko, odpowiadania na listy. Zdaje mi się, jakbym już Panią znała“...

W ten sposób przemówiła Pani do mnie na wstępie i odrazu ogromnie ujęła. Tak przemawiają przyjaciele... Miły wyierszyk, skompowany na cześć „Krainy“ przedrukowuję.

...Taka dziwna i taka bliska mi niezmiernie,
Gdy serdecznym uśmiechem wszystka zapłoniona
Przyzywa mnie do siebie!... Chcę służyć jej wiernie,
Więc proszę Was nieśmiele: „Przyjmijcie do grona!“
A za to, (gdy zechcecie), choćby co niedzielę,
Tu, w złocistej „Krainie szczerości i trosk“,
Melodyjne swe pieśni, jak harfa Eola,
Na strunach swego serca zagra Wam — „Manola“,
Aż smutek się w uśmiechu roztopi, jak wosk.

Czekamy na te Twoje radosne piosenki „Manolo“, i ślemy Ci słowa przyjaźni, całkowicie rozbrojeni zakończeniem Twego listu, które brzmi:

„Wszystkich z „Rodzinki“ pozdrawiam ciepłym, przyjaznym uśmiechem. A jeżeli ktoś uwierzy, że jego list radość mi sprawi, to wiarę ma śliczną. A Panią, Droga Pani Zofjo, proszę o troszkę, troszkę przyjaźni — a, że Żnin nie jest gdzieś chyba na... trzeciej półkuli, więc może kiedy uściskamy się serdecznie“.

CZY ZNAJDZIE SIĘ KTOŚ SZLACHETNY, DOBRY I WESOŁY?

„Nie — biedna“. Odniedawna jest Pani prenumeratorką „Moich Powieści“, a od dzisiaj Sympatyczką „Krainy“. W liściku swoim pisze Pani:

„Jestem bardzo wesołą i niczego mi nie brak, chyba jakiegoś kochającego serduszka, któreby uderzało w takt mojego. Może znajdzie się w „Rodzince“ ktoś szlachetny, dobry i wesoły?“

Czy pytanie to, rzucone w przestrzeń, znajdzie jakiś odzew?

NA KAŻDY LIST ODPOWIEDŹ

„Mała Gejsza“, „Wiera“ i „Oleńka“ — trzy przyjaciółki, mieszkanki dużego miasta, pragną korespondować z Czytelnikami „Moich Powieści“. Przyrzekają na każdy list dać odpowiedź i kolejno się przedstawiają:

„Mała Gejsza“. Kapryśna i zła osóbka, prawdziwa dzikuska. Który z Panów zechce poskromić małą złośnicę?

„Wiera“. Właścicielka czarnych dużych oczu i czarnych loków. Wzrost średni.

„Oleńka“. 24-letnia szatynka, wesoła i zadowolona z życia. Chciałaby w wolnych chwilach prowadzić korespondencję. Czy znajdzie się jakiś „Kmicic“?

Teczka Wujka Janusza

DLA CIEBIE PANI!

Poświęcam „Słodkiej Gitdzie“.

Dla Ciebie, Pani, jest ten świat szeroki,
Pełen uroku, piękna, niespodzianek
I to gwiaździste niebo i obłoki
I każdy cudny, wiosenny poranek!
Dla Ciebie, Pani, są te wielkie miasta,
Teatry, bary, rewje w karnawale,
A dla mnie smutek, co z dniem każdym wzrasta,
A dla mnie samotność, skargi i żale...
Dla mnie jest tylko tęsknota serca,
Jego cierpienia i ciche szlochania
I rany, w które ból się straszny wwierca,
A oprócz tego, łzy rozczarowania...

Mieczysław Grzegorski.

WIERSZE SŁABE

J. J. Wieliczka. O zamieszczeniu wierszy nie może być mowy. Utwór „Wiosna“ posiada tyle melancholji i jesiennych nastrojów, że trud no odnaleźć w nim coś wiosennego. „Lalka“ — bardzo słaby i płytki.

Za pozdrowienia dziękuję i ślę ich również moc.

MOŻE NASTĘPNA NOWELKA BĘDZIE LEPSZA?

„Wareńka“. Wybrała sobie Pani śliczny pseudonim. Nadesłana nowelka przypomina mi wiosenne chmurki... Każda myśl jest w niej jasna i wdzięczna, jak oderwany obłoczek, ale całość robi wrażenie skłębionych chmur. Dzięki właśnie temu bezładowi myśli, nie mogę oddać nowelki Pani do druku. Może następna będzie krótsza i lepsza?

BRAK RYTMU

„Ka — Wu“. Wykluczone! W wierszach stanowczo za dużo smutku i łez, a także brak zupełnie rytmu. Zasyłam serdeczny uścisk dłoni.

CZY ZGODA?

„Zink“. W wierszu swym pod tyt.: „Więź uczuć“..., pisze Pan:

„Tylko nie trzeba pesymizować,
Duszę i ciało trzeba „chartować“,
Na wszystko w życiu się przygotować,
A smutkiem zbytnio się nie przejmować“...

Cieszy mnie bardzo, że w rymach swych niesie Pan radość i uczy być zawsze pogodnym. Wierzę także, że pierwsza lepsza rzecz nie pofiłaby Pana wyprowadzić z równowagi, a taka drobnostka, jak odesłanie wierszy do kosza — zasmucić. Trudno, autor musi być konsekwentny i pozostać zawsze wierny temu co głosi...

Z natury jestem człowiekiem łagodnym i bardzo wyrozumiałym, ale gdy ktoś zwraca się do mnie:

„Tylko nie trzeba zbytnio rozpaczać,
W życie mieć trzeba niezachwianą wiarę,
Wrogom naszym uczmy się przebaczać,
Z duszy wypędzać udręczeń marę...“

to wówczas staje się ze mną coś strasznego i wtedy najchętniej to bym rozbił takie rymy o czyjąś wrogą głowę. Ponieważ jednak to mi się nie udaje, „nie mogę z duszy wypędzić udręczeń mary“. Cierpię i daję przykrą odpowiedź autorowi takich wierszy.

Drogi Panie „Zinku“, boję się, że narażę się Panu, dając powyższą krytykę, ale żadnych złych intencyj nie miałem, jedynie kierowałem się chęcią sprowadzenia Pana z niewłaściwej drogi. Niech Pan przestanie pisywać wiersze... a zostaniemy przyjaciółmi! Zgoda?

Raj kobiet

Kilka słów o bucikach

Dużo kłopotów i zmartwień sprawiają paniom buciki. Od kilku sezonów obuwie damskie stało się bardziej strojne, wykwintne i kolorowe. Najtrudniejszym jednak jest sam wybór odpowiedniego pantofelka, zwłaszcza, że ten sam fason i ten sam kolor znajdujemy nieraz w 2 lub nawet trzech gatunkach, tak bardzo różniących się pod względem ceny i jakości.

Po upływie kilku miesięcy pani rozczarowana dochodzi do przekonania, że lepiejby wówczas zrobiła, gdyby kupiła te same buciki — tylko w tańszej cenie, gdyż zniszczyłyby się napewno w tym samym okresie, a w dodatku z mniejszym ubytkiem dla kieszeni.

Jednakże nie potrzeba być wcale wielkim znawcą obuwia i obserwatorem, aby dojść do zupełnie innych wniosków. Zarówno drogi, jak i tani bucik utrzyma swój kolor i fason, gdy będzie otoczony odpowiednią starannością. O zewnętrzny wygląd pantofelka musi pani sama dbać! I trzeba sobie raz na zawsze zapamiętać, że tego nie należy bagatelizować; nie zostawiać nigdy mokrego, zabłoconego lub zakurzonego bucika na łaskę losu, a do oczyszczenia go zabierać się dopiero na 10 minut przed następnem użyciem.

Gdy zdejmie się bucik z nogi, należy go oczyścić starannie i włożyć go na prawidła lub wypchać papierem. Suszyć mokre obuwie w miejscu przewiewnem, nigdy ciepłem, następnie posmarować odpowiednią pastą. But po kilku minutach poleruje się miękką szczotką lub flanelką. Na koniec dopiero kładzie się bucik do pudełka lub do odpowiedniej szafki na obuwie. Każdy kolor bucików powinien mieć odpowiednią pastę i szmatki lub szczoteczkę.

Buty ze skóry boksowej zmywa się namydloną szmatką, potem opłókuje się czystą wodą, po osuszeniu przeciera się czystym gałgankiem. Buciki reniferowe oczyszcza się specjalną gumową szczoteczką.

O sposobach i gatunkach past do kolorowego obuwia najlepiej dowiedzieć się zaraz przy zakupie pantofelków, aby czasem nie popełnić jakichś omyłek.

Ostatni krzyk mody na dwóch półkulach



W czasie, kiedy w starej Europie, panie chodzą jeszcze w prostych i ciężkich półbucikach,



w ekscentrycznej Ameryce noszą modnisie lekkie pantofelki na sprężynowych obcasach...

Świat i życie

Pierwsi mieszkańcy wysp Samoa

(Legenda z prastarych czasów)

Późno, bo dopiero w wieku osiemnastym dowiedzieli się Europejczycy o istnieniu pięknego archipelagu Samoa. Odkrył go w roku 1722 holenderski żeglarz William Roggeveen, w piętnaście lat potem zaczął tam angielski misjonarz John Williams szerzyć chrześcijaństwo.

Ale do dzisiaj jeszcze nie zatarły się pośród ludności tych wysp stare pogańskie wierzenia i legendy, a jedno z najciekawszych i najbarwniejszych podań dotyczy historji powstania pięknej rasy samoańczyków, jednej z najszlachetniejszych i najurodziwszych spośród wszystkich ras na świecie.

Przed lat tysiącem, a może i przed dwoma tysiącami, na jednej z największych wysp Pacyfiku — Sumatrze — szalała morowa zaraza. Ludzie padali jeden po drugim, w całym kraju słychać było tylko jęki, płacz i modły, wznoszone do potężnego bóstwa mórz Tagalua. Ono to bowiem pozwoliło podwładnym swoim bóstwom wypuścić złe moce śmierci, więzione przedtem w niedostępnych jaskiniach, w głębi wyspy.

Lecz Tagalua nie chciał ulitować się nad swoimi ludźmi: mór szalał nieustannie, aż wreszcie nieszczęśni mieszkańcy zwołali wielką radę najstarszych i najmędrszych kapłanów. Ich wyrok odezwał się okrutnie bolesnym echem w sercach wszystkich.

— Tylko przez dobrowolną ofiarę najdzielniejszych młodzieńców i najpiękniejszych dziewic plemienia zdołacie przebłagać groźnego Tagalua — rzekł arcykapłan, sędziwy Taitaulaga. — Spuśćcie czółna na morze; niech przy wiosłach zasiądą chłopcy, przy sterze dziewczęta, niech płyną szukać boga, niech mu swoje życie darują wzamian za życie pozostałych.

Przygotowano siedem łodzi; do każdej wsiadło sześciu młodych mężczyzn i jedna dziewczyna. Zabrzmiał płacz pożegnalny i — lotem strzały — czółna spłynęły na morze. Rzuciły się za niemi w pogoń złe bóstwa śmierci, lecz łodzie zdołały umknąć przed niemi. Ściemniło się niebo, poczerniały fale — w ogniu błyskawic i w strumieniach ulewnego deszczu pędziła wątła flotylla po niezmierzonej toni oceanu.

Wzruszył się bóg Tagalua i rozkazał wichrom ująć bożków moru, spętanych zamknięto znowu w skałach i pieczarach, zaraza przestała się znęcać nad Sumatrą.

Siedem dni i siedem nocy płynęły łodzie, głód i pragnienie dręczyły ofiarnych żeglarzy, i nic nie wskazywało na to, by mieli prędko dotrzeć do celu. Przeciwnie: bóg przeznaczył im widocznie śmierć powolną.

Wreszcie zamajaczyły przed ich umęczonemi oczyma kwieciste brzegi wysp Filipińskich, zsiedli na ląd, aby się zaopatrzyć w owoce — lecz przyszło im stoczyć ciężką walkę z miejscowymi mieszkańcami, którzy z krzykiem rzucili się na nich, gradem strzał ich obsypując. I oto pierwszych siedem ofiar — siedmiu młodzieńców, po jednym z każdej łodzi, padło w tej walce: bóg Tagalua przyjmować zaczął zapłatę za odwrócenie moru od Sumatry.

Pozostali ruszyli znowu na morze, lecz zdawało się, że się przeciw nim sprzysięgły wszystkie żywioły. Olbrzymie fale rzucały nimi jak zabawką, raz po raz woda wypełniała czółna, które chyba cudem tylko nie tonęły. Zginęło tylko dalszych siedmiu żeglarzy, taksamo po jednym z każdej łodzi.

Płynęli dalej i dalej, znużeni, spragnieni i głodni. Spróbowali łowić ryby — i przy tem znowu utonęło ich siedmiu, bo Tagalua kazał swym podwładnym bożkom przybrać postać siedmiu olbrzymich ryb, z których każda jednym szarpnięciem wciągnęła w morze młodzieńca, kiedy ten ciągnął wędkę do góry. Już tylko czworo płynęło w każdej łodzi: trzech mężczyzn i dziewczyna.

Teraz nastąpiła chwila wytchnienia. Żeglarze przybyli na wyspę Nukuor, gdzie ludność przyjęła ich gościnnie i serdecznie.. Nakarmieni, napojeni, wypoczęci, zapragnęli już tam pozostać i zrezygnować z dalszej ofiary. I wiodło im się tak dobrze, że zbuntowali się przeciw bogowi mórz, z drwinami wołając, że im nic teraz nie zrobi, bo ani myślą wyruszać na wodę. Rozgniewał więc się Tagalua — choć rzeczywiście chciał już tej pozostałej garstce darować życie, zmienił zamiar.

Pod wielkim chlebowcem zasiadło właśnie siedmiu młodzieńców, pijąc wino palmowe i ze śmiechem urągając temu, któremu przeznaczyli się kiedyś w ofierze. I nagle runęło drzewo, pod swemi konarami pogrzebało śmiałków — tubylcy zaś na ten widok wygnali precz ich towarzyszy, ze strachu, aby się przeciw ich wyspie nie zwrócił teraz gniew bóstwa.

Znowu rozpoczęła się tragiczna wędrówka po oceanie, stokroć cięższa jeszcze, niż poprzednio. Straszliwe zmęczenie — beznadziejna walka z falami, lęk przed zemstą boga i głód tak okropny, że ich do najgorszych doprowadzał czynów.

Dlaczego mamy wszyscy ginąć? — wołali — musimy przecież odnaleźć Tagalua. Nie odnaleźliśmy go jeszcze. Niech w każdej łodzi zginie tylko jeden, niech pozostałych napoi swoją krwią, nakarmi swem ciałem. I stało się... na każdem z czółen została tylko para: chłopiec i dziewczyna.

Tych już jednak postanowił bóg zachować, aby jego miłosierdzie i chwałę głosili przez usta swych potomków po wsze czasy. Płynęli jeszcze siedemdziesiąt siedem dni i nocy, aż gnane wichrem, przybiły ich łodzie do nieznanej, niezaludnionej wyspy. Była to jedna z wysp Samoa: Manua, inaczej zwana Tau. Tam osiedlili się, dając początek plemieniu Samoańczyków.

Ze świata

Postrach naddunajskich wiosek

Wśród mieszkańców wiosek węgierskich Tabor i Kilili, leżących nad Dunajem, krążą od kilku dni niesamowite legendy o upiornej łodzi, która co noc straszy rybaków podczas nocnych połowów na Dunaju.

Olbrzymia łódź motorowa płynie bez świateł zupełnie bezszelestnie osiągając szybkość, jakiej nie wykazują nawet najsilniejsze parowce, kursujące po Dunaju. Niekiedy zarzuci kotwicę przy węgierskim brzegu, a właściciel jej, ubrany w czarną pelerynę, wychodzi na brzeg, wywołując wśród mieszkańców wiosek niesłychaną panikę. Ostatnio ujrzeli tajemniczy statek rybacy, mieszkający na czesko-słowackim brzegu Dunaju. Rybak Szczepan Paar łowiący wraz z dwoma towarzyszami ryby, ujrzał w bezpośredniej bliskości sunącą do przeciwległego brzegu tajemniczą łódź.

Na pokładzie nie było zupełnie nikogo. Rybacy sprowadzili z brzegu kolegów i zaczaili się na środku rzeki, aby przychwycić łódź, gdy będzie wracała. Wkrótce pojawiła się płynąca od węgierskiej strony tajemnicza łódź. Rybacy zaczęli ją ostrzeliwać z rewolwerów, łódź jednak skierowała się dziobem przeciwko nim, że tylko cudem uniknęli utopienia. Jedna z łódek rybackich zostala rozbita, a rozbitkowie zostali wyłowieni przez kolegów. Łódź zniknęła w ciemnościach.

Rybacy od tej chwili nie mają już odwagi zapuszczać się w nocy na wody Dunaju.

Do kogo należy upiorna łódź nie wiadomo. Mniej przesądni są zdania, że chodzi tu o wypróbowanie jakiegoś nowego wynalazku, i że nocne wyprawy straszące ludność, są popostu treningiem.

Ten sam kapelusz nosiła 70 lat

W pewnej angielskiej wiosce zmarła miss Leah Berrow, stara panna w wieku lat 80-ciu.

Kobieta ta naszpikowana była dziwactwami. Nigdy nie sprawiła sobie innego kapelusza, prócz tego, który otrzymała, gdy miała lat 10. Nosiła więc ten sam kapelusz 70 lat.

Nigdy nie spędziła ani jednej nocy swego życia poza domem, w którym mieszkała od urodzenia.

Nigdy nie podróżowała pociągiem.

Leczyła się ze wszystkich chorób sama staroświeckiemi ziołami nie uznając lekarzów ani apteki.

Powitanie przez pociągnięcie za brodę

Bernard Shaw, który bawił w podróży dookoła świata, wstąpił także na Wyspy Hawajskie. Tu spotkała go niezwykła przygoda. Oto w czasie uroczystego powitania w małem miasteczku podeszła do niego młoda dziewczyna i pociągnęła go silnie za brodę. Na żądanie Shawa aresztowano młodą Hawajkę. Okazało się, że była ona właściwie niewinną, gdyż na wyspie panuje zwyczaj przy powitaniu szczególnie dostojnych osób pociągania ich za brodę. Chcąc uniknąć na przyszłość tego rodzaju hołdów, Shaw oddał się pod opiekę dwóch detektywów, którzy go nie odstępowali.

Choroba śmiechu

Osiemnastoletnia uczenica kolegjum w Westom, w stanie Wirginji zachodniej, będąc na przedstawieniu komicznego filmu, tak się śmiała, że od tego czasu wciąż dostaje — jak donoszą pisma nawojorskie — ataków spazmatycznego śmiechu, którego nie sposób uspokoić, a które kończą się utratą przytomności, poczem znów się wznawiają.

Umieszczono ją więc w szpitalu, gdzie lekarze łamią sobie głowy, jak zaradzić tej niezwykłej chorobie.

DOBRA GOSPODYNI

Tuczenie drobiu.

Dobrą paszą dla tuczenia drobiu jest mąka gryczana, rozrobiona z mlekiem na ziarniste ciasto. Zamiast mąki gryczanej można również używać mąki pszennej lub owsianej, albo też ugotowany w wodzie rozrobiony ryż. Pod koniec tuczenia, co trwa około 14—20 dni, dodaje się do paszy trochę smalcu lub słoniny. Drób powinien otrzymywać obfitą ilość paszy i należy wykluczyć wszelką sposobność do większego ruchu.

Ochrona drobiu od robactwa.

Kury kąpią się chętnie w mieszaninie wapna i siarki do której się co tydzień dodaje miałko przesianego przez sito popiołu węglowego i zwietrzałego na powietrzu wapna i przez to utrzymuje się drób czystym od robactwa.

Odróżnienie dobrze niosących kur od złych.

Im ciemniejszy szkarłatno-czerwony kolor posiadają grzebień i uszy, im większą kiść tworzą pióra naokoło ogona, tem lepiej kura niesie. Jeżeli grzebień i uszy są zabarwione na różowy kolor i pióra gładko przylegają, to znak, że kura źle niesie. Jeżeli wieczorem, po siadaniu kur na grzędy, zbadamy zawartość podgardli, zauważymy, że u niektórych kur są więcej napełnione. Kury te będą dobrze niosły, gdyż charakterystyczną własnością nośnych kur jest to, że jedzą do późnego wieczora.

Przynęta do gołębi.

Aby przyzwyczaić gołębie do gołębnika, tak, aby zawsze chętnie do niego wracały, należy pokropić gołębnik i gniazda roztworem kilku kropli olejku lawendowego, goździkowego i anyżowego w mocnym spirytusie. Gołębie zapach ten czują już zdaleka. Również można włożyć do gołębnika ciastowatą mieszaninę z mąki z anyżem, koprem i polnym tymiankiem. Gołębie to chętnie jedzą.

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

Niedziela, dnia 26 kwietnia 1936 r.

8.30 Audycja poranna 9.45 Transmisja uroczystości dorocznego odpustu Św. Wojciecha w Gnieźnie połączona z przeniesieniem relikwij bł. Bogumiła 12.03 Przegląd teatralny 12.15 Poranek muzyczny z Wilna W przerwie o godz. 13.00: fragment słuchowiskowy 14.00 „Dzięki Ci Matko za Wilno" (z cyklu: „Opowieści żołnierskie") 14.20 „Wielcy dyrygenci świata" — płyty 15.00 Godzina rolnika 16.00 „Łamigłówki" 16.30 „Ziemia gnieźnieńska i jej lud" — transmisja z Gniezna 17.15 Premjera niewydanej fraszki Henryka Sienkiewicza pt. „Autorki" 17.45 „Co czytać?" 18.00 „Podwieczorek przy mikrofonie" W przerwie pogadanka aktualna 20.00 Koncert w wyk. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. M. Mierzejewskiego z udziałem Loli Strasberżanki 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 „Podróżujmy" — „Wisła gdańska" — felieton wygł. Mieczysław Zydler 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich Rozgłośni P. R. 22.00 Powtórzenie zagadki muzycznej z dnia 22. 4. 22.30 Koncert Małej Orkiestry P. R.

Poniedziałek, dnia 27 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „O czasowych i trwałych pastwiskach" — pogadanka 12.25 Muzyka salonowa w wykonaniu Małej Orkiestry P. R. 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Uczniowie Stanisława Moniuszki — koncert 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 „Z piosenką przez Lwów" — koncert ork. lwowskiego Koła Mandolinistów 16.45 „Na miejscu zbrodni" i „Nowy służący" — skecze Tristana Bernarda 17.00 „Kobiety zasłużone": „Dr. Zofja Daszyńska-Golińska" — pogadanka 17.15 „Minuta poezji" 17.23 Arje i pieśni w wykonaniu Janiny Ziółkowskiej 17.50 „Zwiastuny wiosny" — pogadanka 18.30 „Trochę telewizji" — audycja dla dzieci 18.55 18.00 Recital fortepianowy Mieczysława Hoszowskiego Pogadanka aktualna 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja strzelecka pt. „Rehabilitacja" 20.30 Tola Korjanówna w swoim repertuarze 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 „Bracia Kiepurowie" — płyty 21.30 Wieczór literacki: „Łódź w oczach pisarzy" 22.00 Koncert symfoniczny w wyk. Orkiestry Symf. P. R. pod dyr. Henri Pensis'a 23.05 Muzyka taneczna.

Wtorek, dnia 28 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół — „Smutno niedzieli gdy się piątek weseli" 12.30 Wycieczka w krainę muzyki przeszłości 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 13.15 „Z rynku pracy" 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Rapsodje węgierskie — Liszta, z płyt 16.00 Skrzynka PKO. 16.15 Walce koncertowe 16.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 „Skarby Polski": „Siły wodne i elektryfikacje Polski" — odczyt wygłosi inż. Jerzy Taylor 17.15 Muzyka operetkowa w wyk. Małej Orkiestry P. R. z udz. K. Dembowskiego W przerwie o godz. 17,50: Encyklopedja mówiona 18.30 „W obronie polszczyzny mówionej i pisanej" — szkic literacki wygłosi Jan Miernowski 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 „Wesoła historjozofja" — feljet. satyryczny Z. Kleszczyńskiego 20.10 Koncert symfoniczny z Łodzi W przerwie około godz. 20,50 Dziennik wieczorny oraz „Obrazki z Polski współczesnej" 22.30 „Fantazje z różnych stron świata" 22.45 „Kongres kobiet z wyższem wykształceniem" — odczyt w jęz. esperanckim 23.05 Muzyka taneczna.

Środa, dnia 29 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „O mięsie" — pogadanka 12.30 Koncert w wykonaniu zespołu Tadeusza Seredyńskiego 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Rapsodja węgierska Fr. Liszta — płyty 16.00 „Piosenki dla dzieci" w wyk. Chóru Eryana 16.20 Recital skrzypcowy Tomasza Jaworskiego 16.45 Rozmowa muzyka ze słuchaczem radja 17.00 „Dyskutujmy" 17,20 Fragmenty z operetek — płyty 18.00 „Książka i wiedza" 18.10 Piosenki w wykonaniu Oli Obarskiej (Transm. z Wilna) 18.30 „Skrzynka ogólna" 19.25 „Uprawa warzyw na własny użytek" — pogadanka 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Cały świat śpiewa piosenki 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrazki z Polski współczesnej" 21.00 34 audycja z cyklu „Twórczość Fryderyka Chopina" 21.40 „Stanisław Brzozowski" (w 25-lecie zgonu) wygł. Kazimierz Wyka 21.55 Audycja z okazji narodowego święta Japonji 22.51 Muzyka taneczna.

Czwartek, dnia 30 kwietnia 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.07 Dziennik południowy 12.15 Poranek szkolny dla młodzieży szkół powszechnych 13.00 Muzyka 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Władysław Eiger: Wiązanka melodyj rewjowych i filmowych 16.00 „O tem, jak małpa skubała misia za ogon" — opowiadanie dla dzieci 16.15 Zygmunt Stojowski: Sonata E-Dur op. 37 17.45 „Cała Polska śpiewa" 17.00 Odczyt pt. „Wojsko szkołą charakterów" 17.15 Koncert w wykonaniu Orkiestry Kameralnej 18.00 Poagdanka aktualna 18.10 Recital wiolonczelowy Tadeusza Lifana 18.40 Jak spędzić święto? 19.25 „Kącik młodzieży wiejskiej" 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 Koncert muzyki lekkiej 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 „Obrona przeciwlotniczo-gazowa" — pogadanka 21.00 Premjera słuchowiska oryginalnego pt. „Cztery nie mieści się w siedmiu 21.35 „Nasze pieśni" — 111 audycja z cyklu „Stanisław Moniuszko pieśniarz" 22.00 Muzyka salonowa 23.05 Muzyka taneczna.

Piątek, dnia 1 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół: „Ojczyzno moja, ty jesteś jak zdrowie" 12.45 Jazzowe utwory fortepianowe 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 13.15 „Z rynku pracy" 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Duet fortepianowy 16.00 Pogadanka dla chorych 16.15 Koncert w wyk. Zespołu Tadeusza Seredyńskiego 16.45 „Przyroda w maju" — pogadanka dla dzieci starszych 17.00 „Skarby Polski" — „Chorzów i Mościce" — odczyt 17.15 „Minuta poezji" 17.20 Kazimierz Sikorski: Sekstet smyczkowy op. 6 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Piosenki w wyk. Hanny Brzezińskiej i Tadeusza Olszy 18.30 Pogadanka aktualna 18.50 Pogadanka społeczna 19.25 Skrzynka rolnicza 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Komunikat śniegowy z Krakowa 19.50 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami Polskiego Radja 20.00 Koncert symfoniczny z Filharm. Warszawskiej W przerwie o godz. 20.50: Dziennik wieczorny oraz „Obrazki z Polski współczesnej". 22.30 Skrzynka techniczna 22.50 Muzyka taneczna z dancingu „Cafs-Club" w Warszawie.

Sobota, dnia 2 maja 1936 r.

6.30 Audycja poranna 12.03 Dziennik południowy 12.15 „Przegląd rolniczej prasy" 12.25 Koncert Orkiestry Kameralnej z Wilna 13.10 Chwilka gospodarstwa domowego 14.30 Śpiewaczki koloraturowe 15.00 „Przyjacielska usługa" — nowela 15.15 Nasz handel morski 15.20 Przegląd giełdowy 15.30 Zsepół Niny Mańskiej 16.05 Lekcja języka francuskiego 16.20 „Woda" — słuchowisko Zofji Bogdańskiej dla dzieci starszych 16.50 Recital fortepianowy Kleina 17.15 Arje i pieśni w wykonaniu A. Matjasiak 17.35 „Rola t. zw. inteligencji w kulturze środowiska" — pogadanka 17.45 Przegląd wydawnictw 17.55 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.00 Transmisja nabożeństwa z Ostrej Bamy 19.35 Wiadomości sportowe 19.45 Pogadanka aktualna 20.00 „Wieczór serenad" 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków zagranicą: „Młodzież polska poznaje swój kraj" 21.30 „Uśmiech Poznania" pt. „W górę, w górę miły bracie" z udziałem Ireny Gadejskiej 23.05 Muzyka taneczna.

Wśród warjatów

czyli

Upiór zamku Sokolskich

(Romans) 85)

„Ja jednak“, ciągnął dalej medyk, ja muszę w nią wlać miłość ku tobie, aby cię pokochała tak, jak kocha niewiasta mężczyznę, aby chętnie poszła z tobą do twego wigwamu i aby ci była pociechą, jak długo Wielki Duch wam żyć pozwoli.“

Rysy Mahito rozjaśniły się, uścisnął rękę medyka i odrzekł:

„Za to dziękuję ci, Akolpu, jeżeli to sprawisz, zabiję najpiękniejszego jelenia i podaruję ci jego rogi.“

Jeszcze raz obrzucił dumny wódz biedną dziewczynę palącem spojrzeniem, poczem wyszedł z namiotu odrzucając zasłonę.

Natychmiast zasłonił medyk wejście do namiotu za nim...

Anielcia znajdywała się w samym kącie namiotu. Skulona siedziała przerażona. Teraz obawa jej wzrosła jeszcze skoro zobaczyła, że znajduje się sam na sam ze straszydłem. Spostrzegła, że dziwne to zjawisko ludzkie, które Indjanin nazwał medykiem, ma tylko jedną rękę.

Jak tylko medyk począł się do niej zbliżać, padła na kolana i poczęła wołać po angielsku:

„Zabij mnie, — jeżeli masz serce, człowiecze, w sobie, nie daj mi się dłużej męczyć, pozwól mi umrzeć.“

„Tobie pozwolić umrzeć?“ odparł medyk cichym, drżącym głosem, nie, Anielciu Dubois, ty musisz żyć, musisz być uratowaną!“

Anielcia opadła z okrzykiem wstecz, — rękami poczęła trzeć czoło, — szeroko rozwarte oczy skierowała pełne przestrachu na postać medyka, niezdolna wymówić ani słowa.

To straszydło w niedźwiedziej skórze, ten skarłowaciały Indjanin przemawiał do niej ciepłym, łagodnym głosem jak przyjaciel, wlewał jej otuchę do serca!

„Cóż to za cud? Czy to znowu promień łaski Bożej?“

„Cicho,“ zaszeptał w tej chwili medyk do jej ucha, chyląc się nad nią, „cokolwiek usłyszysz w tej chwili, zapanuj nad sobą, inaczej zgubieniśmy oboje. Uważasz mnie za swego wroga, — myślisz, że ja także czerwonym djabłem, — mylisz się, — dowiedzże się, że w mej piersi bije przyjacielskie serce dla cię, że ja szczerze z tobą postępuję!“

Wyjął chustkę z kieszeni i począł trzeć pomalowaną twarz. Odrzucił głowę niedźwiedzią z czoła, począł się prostować i rość.

Ze straszydła przeobraził się nagle w dorodnego mężczyznę białego. Poczęła mu badawczo spoglądać w twarz i dawno minione obrazy przypomniały jej się powoli.

Pomimo przestrogi krzyknęła mimowoli. Twarz tę widziała gdzieś, ale nie w skalistych okolicach Sierry Newady, — to chyba było w puszczach sybirskich, — drżące wargi jej poczęły szeptać następujące słowa:

„Wszelki duch chwali Pana Boga, — umarli z martwych wstają, — Istwan, mój towarzysz ze sybirskich pustyń!“

CXXIX.

Druga para oczu

Na cztery tygodnie przed temi zajściami, któreśmy właśnie skreślili, a które rozegrały się w Nowym Meksyko, odbywała się w pokoju hrabiego Zygmunta Sokolskiego ważna narada.

Hrabia Zygmunt siedział razem z przybocznym lekarzem księcia, który w tak cudowny sposób uratował był życie Elżutki.

„A więc cóż nowego,“ spytał tajny radca hrabiego, zapalając sobie podane wonne cygaro, „kazał mnie pan hrabia zawołać, sądzę, że przecież nie do siebie?“

„Nie, Bogu dzięki,“ odpowiedział hrabia, „co do mnie, pomimo, żem tyle przeszedł w ostatnich czasach, czuję się dość zdrowym.“

„A więc pacjentem ma być może panna Elza Rodeń?“ badał dalej lekarz.

„Także nie. Od czasu, jak ją pan uratował, zwłaszcza po wyjeździe na południe, trzyma się dziarsko, na nic się nie skarży. Rozchodzi mi się o mego przyjaciela, o hrabiego Kazimierza Zamskiego.“

„O hrabiego Kazimierza Zamskiego?“ zawołał tajny radca, — „tak, tak, domyślałem się tego.“

„W jaki sposób, kochany stary przyjacielu?“ spytał Zygmunt.

„Spotkałem się z nim wczoraj w książęcej auli,“ odpowiedział tajny radca, wyjmując złotą tabakierkę i biorąc w palce szczyptę tabaki. „Przechadzałem się trochę po świeżem powietrzu, no i widziałem się z naszym kochanym hrabią Kazimierzem.“

„I zauważył pan zmianę w nim?“

„To jest, właściwie nie! Każdy inny uważałby go za zdrowego! Ale oczy jego błyszczą się w dziwny sposób. Poznałem, że toczy wewnętrznie jakąś wysilającą walkę ze sobą. Spojrzenia jego jakieś dziwnie niestałe, nie powiem pomieszane, ale nieco przyciemnione. Tak nie patrzy człowiek w świat, jeżeli ma odwagę i —“

„Przepraszam“, przerwał mu lekarz, „hańbą jest tylko oszukiwać, ale nie zostać oszukanym.“

„Ma pan słuszność, niestety, nie wszyscy tak sądzą. Koniec końcem zapóźno prawie spostrzegłem się, żem obcą przycisnął do serca jako córkę i wydał ją za mego kochanego przyjaciela zamąż.“

„Nie słyszałeś pan, panie hrabio, niczego więcej o niej?“ spytał lekarz, marszcząc zlekka brwi.

„Nie!“ zapewnił hrabia Sokolski, „straciliśmy ją całkowicie z oczu! Żeby być szczerym, muszę się przyznać, że nie zadawaliśmy sobie wcale trudu, by się dowiadywać o dalszych jej krokach, co się z nią stało. Bo i pocóż? Ta osoba umarłą dla nas! Musi mi pan doktór przyznać, że to przecież jeszcze najhumanitarniejsze postępowanie z naszej strony względem tej osoby, która w tak niecny sposób nas podeszła.“

„Tak jest, najhumanitarniejsze i najrozumniejsze zarazem!“ zapewnił go tajny radca z pospiechem. „Cóżby panom z tego przyszło, gdybyście kazali zamknąć tę osobę! Okropnie długi, sensacyjny proces ze wszystkiemi nieprzyjemnościami i rozgłosem. Do tego gadanina i paplanina całej prowincji, żednej takiej strawy, metrowe szpalty dzienników! Nie, nie, mój kochany hrabio, ja się wprost brzydzę takimi rozgłośnymi procesami. Zresztą mogę zapewnić pana hrabiego, że posłuch o tem doszedł do uszu naszego najmiłościwszego księcia. Najmiłościwszy nasz Pan wyraził się bardzo chwalebnie, co do postępowania pańskiego. Powiedział raz przy sposobności:

„Hrabia Zygmunt Sokolski posiada niezwykły takt serca. Jestem mu wdzięcznym za to, że oszczędził moją rezydencję i nie wytoczył tej sensacyjnej afery przed sąd.“

„Bardzo mnie cieszy“, odparł Zygmunt z prostotą i swobodą, „że nasz Najmiłościwszy Pan tego samego zdania jest co i ja. Ale przez to nie ukończona jeszcze ta cała sprawa!“

„Nie ukończona? A czegoż jeszcze brakuje? Osoba ta przecież już usunięta?“

„Tak, ale brakuje nam tej, której imię w nieprawny sposób ta osoba sobie przywłaszczyła, brakuje mi mojej prawdziwej, rzeczywistej córki! Jestem równie nieszczęśliwy, jak wówczas, kiedym jej poszukiwał po całej Europie, po całym świecie, — mojej biednej Anielci!“

„Wierzę panu hrabiemu chętnie!“ odpowiedział doktór po małej pauzie; „więc nie znalazłeś pan dotychczas swojej córki? Nie odkrył pan żadnego jej śladu? Nie żałował pan przecie chyba starań i zabiegów?“

„Miły Boże, czyniliśmy wszystko, co w naszej mocy leżało. Kazimierz wyjechał w podróż, która wedle obrachowania miała trwać całe dwa lata, miał zwiedzić wszystkie części ziemi, aby tylko odnaleźć Anielcię i przywieźć ją do domu. Ale już w Paryżu dowiedział się, że okręt, na którym przeprawiała się Anielcia do Ameryki, zatonął i pogrzebał ze sobą wszystko, co tylko znajdowało się na pokładzie. Muszę więc przypuścić, że z katastrofą okrętu „Gloire de France“ straciła również życie moja biedna córka i że spoczywa gdzieś na dnie morza.“

Zygmunt zamilkł ze wzruszenia. Książęcy lekarz nadworny obrzucił go długiem, pełnem współczucia spojrzeniem.

„A więc“, odezwał się tajny radca po jakiejś chwili, „dramat przecież zakończony! Niegodna oszukanka została wyrzuconą ze zamku i pamięć o niej zaginęła, — biedna, nieszczęsna Anielcia, pożałowania godna córka pańska utonęła!“

„Ach, żebym miał przynajmniej pewność co do tego“, zajęczał Zygmunt ze łzami w oczach, „wówczas, kochany,

doktorze, — wówczas byłoby lżej, byłoby lepiej. Ale widzi pan, tej pewności nie mam ani ja, ani mój biedny Kazimierz. — To prawda, „Gloire de France“ zatonął. Ale czyż to niemożliwe, że bodaj kilka osób uratowało swoje życie? Nie mogła się pomiędzy temi kilku znajdować się Anielcia? Nie mogła szczęśliwie dostać się na jakimś odłamie do brzegu? Czyż to wykluczone, aby mogła się cudownie ocalić jako rozbitek?“

„Możebnem to jest, ale nieprawdopodobnem!“ odparł tajny radca z powagą.

„Ja to także utrzymuję, jużem się nawet poniekąd oswoił z tą myślą, że biedna moja córka nie żyje. Obżałowuję moją kochaną Anielcię i smucę się po jej stracie. Jednak Kazimierz jest przeciwnego zdania! Nie chce wierzyć w to, że Anielcia zatonęła, on uważa ją ciągle jeszcze za żywą, twierdzi tylko, że zaginęła gdzieś. To przekonanie czerpie ze swego serca, jego instynkt i miłość mówią mu, że Anielcia żyje.

Tajny radca zażył z powagą tabaki.

„Serce, instynkt?“ odezwał się wreszcie cedząc powoli te słowa. „Mój kochany panie hrabio, my psychologowie nie wierzymy w takie rzeczy, — to pojęcia abstrakcyjne, nieistniejące, — jeżeli zaś istnieją to nie można im bynajmniej tej wagi i ważności udzielać, do jakiej roszczą sobie pretensję.“

„Tak? A więc pan doktór w to nie wierzy?“ odparł Zygmunt, podsuwając się z krzesłem bliżej lekarza, „cóż pan w takim razie twierdzi co do somnabulizmu? Myślę, że nie potrzebuję panu objaśniać co ja pod tem rozumiem. Mam na myśli to co powszechnie lud zowie drugą parą oczu! Opowiadają mianowicie, że egzystują takie osoby, obdarzone tą drugą parą oczu“, to jest osoby, które nietylko to widzą, co i każdy inny rzeczy ziemskie, cielesne, ale i rzeczy, które naprzykład odbywają się w odległych stronach, — rzeczy idealne nie podpadające pod wzrok zwykły. Jakżeż mam się wytłumaczyć? Te osoby zdolne są rozróżnić rzeczy, których absolutnie wzrok zwyczajny objąć nie zdoła. Ba, — w stanie ekstazy, w tym dziwnym stanie na pół snu na pół jawy pojmują rzeczy lub widzą, jakich żaden rozum ani pojąć ani ujrzeć nie zdoła.

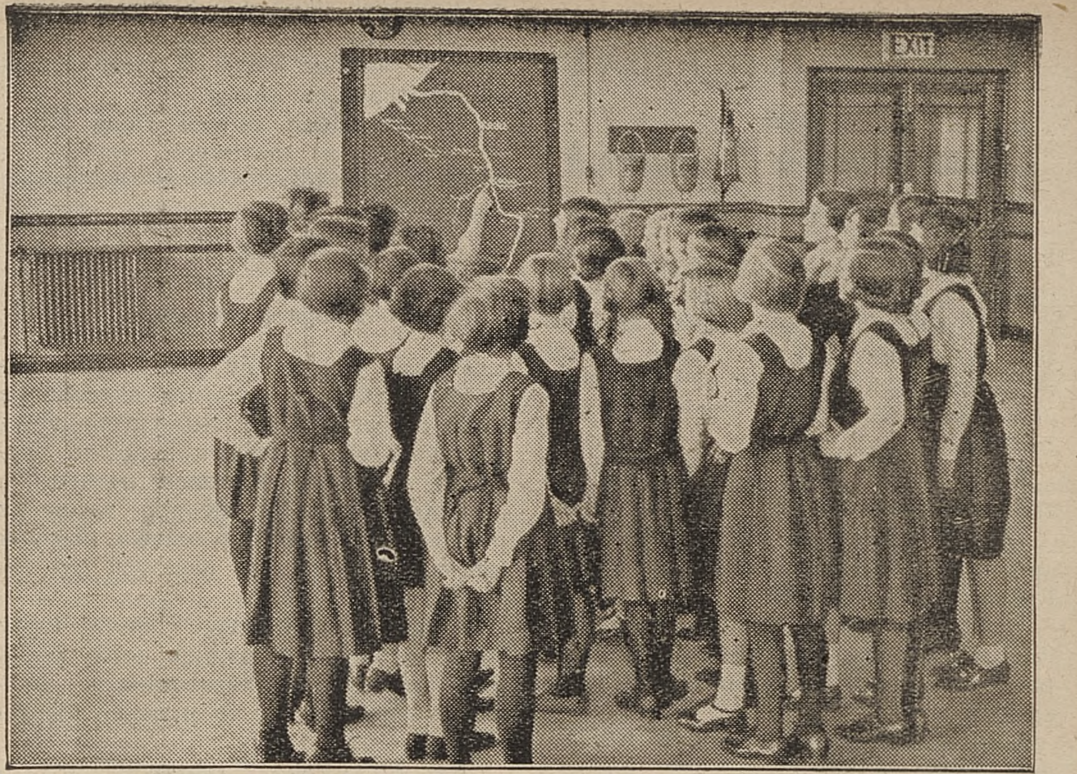
„W ostatnich czasach“, ciągnął dalej Zygmunt po małej pauzie, podczas gdy tajny radca z wielkiem zadziwieniem na niego spoglądał, „zajmowałem się wiele literaturą w tym kierunku. Wszystkie te zbiory ksiąg, które pan widzi piszą albo wprost, albo dotyczą przynajmniej tej ważnej kwestji somnabulizmu. Znalazłem w tych stosach nieraz tak ważne dowody i takie trafne przykłady, że mimowoli mnie to zastanowiło głęboko. — Na przykład Dziewica Orleańska, która, jak wiadomo, obroniła swój kraj przed napadem Anglików, nie była niczem innem jak tylko stworzeniem o dwóch parach oczu, jak się lud wyraża. W stanie ekstazy, w którym zjawiła się jej nawet Matka Boska, widziała dokładnie wszystkie poruszenia wrogiego wojska, widziała rozkład jego i wykorzystała tę jasność widzenia ku zwycięstwu. — W Niemczech żył pewien zwykły człowieczyna znany pod nazwą „owczarz Tomasz“. Człowiek ten był zwyczajnym pastuchem. Nagle począł wyjawiać rzeczy, które nawet największe powagi naukowe potrafiły zadziwić.

„Ten pasterz przewidział z największą dokładnością wojny osiemnastego stulecia. Podał rok, w którym miała grasować zaraza. We wielu wypadkach ordynował znakomite środki lecznicze na jakie największe sławy medyczne, by się nie zdobyły. — Ale pójdźmy jeszcze o jeden krok dalej, kochany radco! W Paryżu żyła pewna kobieta, ogromnie szanowana przez tamtejszą policję, bo podawała jej dokładnie miejsca pobytu największych łotrów i złoczyńców. Zasłużyła się przedewszystkiem dlatego, bo zawsze umiała odgadnąć najtajniejsze skrytki zrabowanego cudzego dobra. — Jedna Rosjanka wyjawiła w stanie somnabulistycznym jak najdokładniej sposób i rodzaj, miejsce i godzinę, w której miał być zamordowanym car Aleksander przez nihilistów. Z początku wydrwiwali ją i przezwali ją oszukanką, później jednak sprawdziło się wszystko, co przepowiedziała. Dowiedzionem było również, że osoba ta nie była w związku z nihilistami. — Teraz, kochany tajny radco, przychodzę dopiero do tego, com chciał właściwie panu powierzyć!“

Zygmunt podniósł się i rzuciwszy jeszcze raz wzrokiem w kierunku drzwi, jakby się obawiał, żeby go kto nie podsłuchał, przystąpił do książęcego przybocznego medyka i kładąc mu rękę na ramieniu, wyszeptał tajemniczym głosem:

„Zamek Sokolski kryje w sobie również somnambulizm, — Alma, biedna obłąkana jest w takim stanie!“

„Tak“, zawołał przyboczny lekarz ze zdziwieniem, „więc słabość tej biednej męczenniczki weszła w nowe stadjum?



Uczenice londyńskiej szkoły wzięły udział w towarzystwie swoich nauczycieli, w 8-dniowej wycieczce w piękne okolice Renu. Fotografja nasza przedstawia młode dziewczęta, studjujące pilnie w przededniu wyjazdu mapę okolic nadreńskich.

— Ach, panie hrabio, proszę mnie zaprowadzić do niej, proszę mi pozwolić widzieć się z tą biedną istotą, o ile możności zaraz.“

„Dlatego właśnie prosiłem pana do siebie“, odpowiedział Zygmunt, „jeżeli przyjemnem, to proszę zaraz do pawilonu ogrodowego razem ze mną. Proszę tylko pozwolić, żebym najprzód zawiadomił o tem Kazimierza i Elzę Rodeń. Chciałbym, żeby oni także byli przy tej konsultacji.“

„Czy wiedzą o tem Kazimierz i Elza Rodeń, że nieszczęśliwa słaba znajduje się w stanie somnambulizmu?“

„Kazimierz niema nawet pojęcia o tem. Elza pierwsza zrobiła mnie na to uważnym.“

Podczas tych słów przystąpił Zygmunt Sokolski do dzwonka i pocisnął za guzik.

Staremu Walentemu, który natychmiast się zjawił, rozkazał poprosić Kazimierza do pawilonu.

„Elza oczekuje już nas tam“, zwrócił się do tajnego radcy, „proszę więc towarzyszyć mi do ogrodu.“

W kilka minut później zebrały się w przedpokoju słabej cztery osoby: Zygmunt, doktór, Kazimierz Zamski i Elza Rodeń, troskliwa opiekunka chorej.

„Czy sądzi pani“, zwrócił się Zygmunt z tem formalnem zapytaniem do Elzy, którą przy obcych per pani tytułował, „że Alma będzie teraz w stanie nam na nasze pytania odpowiadać?“

„Niestety muszę panu, panie hrabio, donieść, że nieszczęśliwa obłąkana znajduje się obecnie prawie ciągle w stanie szczególnego podrażnienia. Widzi rzeczy, które jej fantazja maluje. Omawia sprawy z odległych stron, o jakich nie słyszała nigdy, ani jej nikt o nich nie opowiadał.“

„O czemże teraz naprzykład mówiła“, spytał Zygmunt, rzucając na doktora dorywcze spojrzenie, jakby chciał go niem zmusić do uwagi.

„Opowiadała o doktorze Morizanio, który był szefem w zakładzie obłąkanych."

„Tak, o doktorze Morizano?" zawołał hrabia, ściągając groźnie brwi, „no, co się tego dotyczy, nie trzeba się dziwić, że utkwił jej szczególnie w pamięci. Cóż o nim mówiła?"

„Alma siedziała na krześle", opowiadała dalej Elżutka, „ze szczególnem jakiemś skupieniem, oczy utkwiła nieruchomo w jeden punkt; od czasu do czasu wstrząsał jej ciałem przelotny dreszcz, — nagle zaśmiała się na głos, dzika jakaś radość opanowała ją i wydobywała się przemocą z jej piersi, — z warg jej wychodziły pojedyńcze słowa:

„Teraz walczy z bałwanami, rekin tuż za nim! Ach, doktorze Morizano, nadchodzi kara, zemsta cię goni!"

Elżutka umilkła. Ze zdziwieniem spoglądali po sobie trzej mężczyźni.

„W jakiż sposób pan sobie to tłumaczysz?" badał przyboczny lekarz księcia, zwracając się z tem zapytaniem do Zygmunta.

Hrabia poruszył ramionami:

„Tego nie wiem, czy w tem widzeniu kryje się jaka prawda", odpowiedział, cedząc zwolna pojedyńcze słowa, „nie badałem dalszych losów doktora Morizano. Wiadomo mi tylko, że nagle umknął z miasta i że odkryto w jego zakładzie tak straszne rzeczy, że sama policja postarała się o to, aby to się nie rozniosło po mieście, aby ludność tutejszą nie niepokoić. — Ale czyż nie byłoby to możliwością, że doktor Morizano wyprawił się w podróż morzem, aby zatrzeć za sobą ślady? Nie mogło się wydarzyć, że okręt jego rozbił się podczas podróży?"

„Rozbił się okręt?" zawołał Kazimierz w tej samej chwili, wyciągając jakiś papier z kieszeni, „przebacz mi, przyjacielu, że ci przerywam. Właśnie mam w ręku listę, która dopiero teraz doszła mnie. Zawiera ona spis rozbitków okrętu „Gloire de France". Z początku nie było możliwem towarzystwu okrętowemu podać dokładnego spisu imion zaginionych. Dopiero później wydrukowaną została ta lista w Paryżu i teraz mi ją właśnie przesłano."

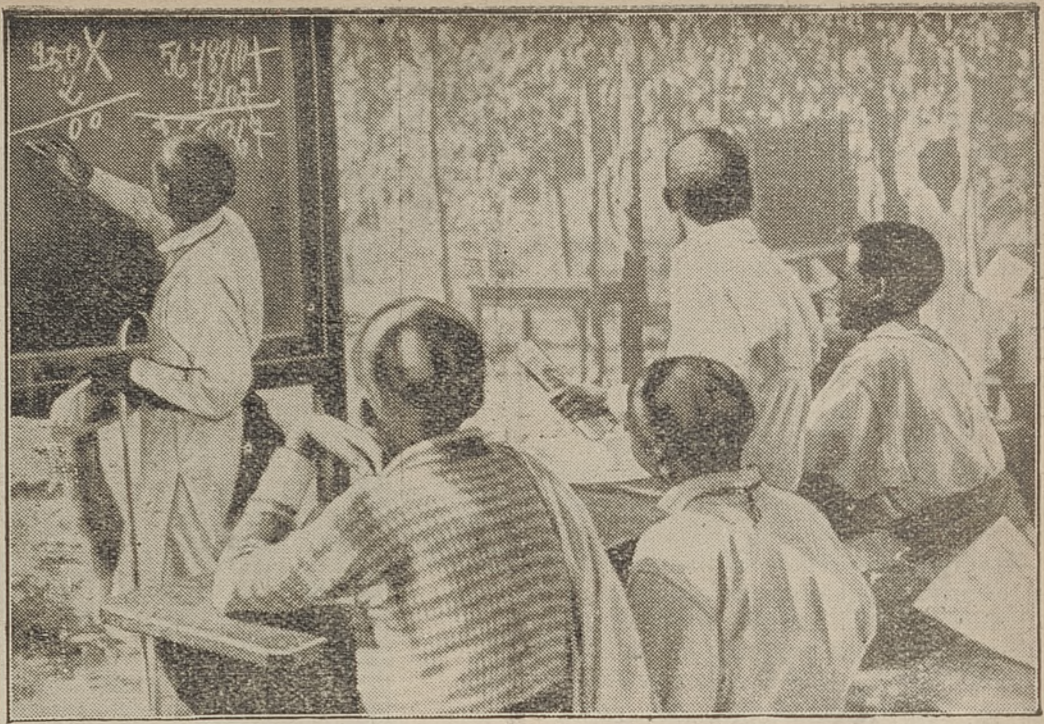
„Nie przeglądnąłeś jej jeszcze, Kazimierzu", spytał Zygmunt porywczo.

„Nie, nie miałem czasu. Właśnie dopiero co doręczył mi ją listonosz, a że słyszę właśnie opowiadającego cię o rozbiciu okrętu, przychodzi mi na myśl ‚Goire de France' i przesłany spis. Pozwól, drogi przyjacielu, że zaglądnę prędko do środka."

Kazimierz rozwinął czarną obwódką opatrzony papier, zadrukowany na wszystkie cztery strony. Zaledwie jednak rzucił weń okiem pobladł i cofnął się o krok.

„Co to jest? Zygmuncie, przyjacielu, Anielcia żyje!"

„Co, ona żyje?" zawołał Zygmunt drżącym głosem, „nie, nie, mój synu, oszukujesz siebie i mnie próżnemi życzeniami! Cośkolwiek wyczytał w tem papierze, nie wierz! Niema nic gorszego jak pozwolić zapłonąć w swem sercu nadziei i widzieć, jak ona potem blednie i znika!? — Kazimierzu, — sy-



Bezpośrednio po opanowaniu abisyńskich terenów, wprowadził rząd włoski przymus szkolny dla tamtejszej ludności.

nu, — na czem opierasz swoje twierdzenie, że twoja, — że moja Anielcia żyje?"

„Na czem opieram moje twierdzenie?" zawołał Kazimierz drżącym głosem, opanowując z trudnością tylko swoje wzruszenie, — „patrz sam, przyjacielu, — na czwartej stronie półarkusza, którą najprzód rozwinąłem, stoją imiona tych, którzy uratowani zostali przy rozbiciu, one brzmią: —"

Uroczysta cisza zapanowała w sali, czworo ludzi zbiło się w kupę, zaglądając ze skupieniem na wskazane miejsce papieru.

Rozległemi głoskami były wydrukowane następujące imiona:

„Elżbieta Flower, — Anielcia Dubois, — doktor Morizano, — Chaim Stieglic."

„Ona żyje!" wykrzyknęła Elżutka Rodeń, i gorące łzy popłynęły po jej policzkach, — łzy radości, których nie starała się wstrzymywać, „ona żyje! — O Zygmuncie, najukochańszy Zygmuncie, słyszałeś, Anielcia żyje, twoja córka żyje!"

W przystępie szczęścia, w czystej jak łza radości, że córka ukochanego męża uratowana, zdradziła Elżutka tajemnicę swego serca. Po raz pierwszy nazwała przy obcym hrabiego po imieniu, wyznała, że on najdroższym jej sercu, że wiążą ją z nim nierozerwalne pasma miłości. Zygmunt także nie ukrywał się dłużej, — pospieszył do Elżutki i biorąc jej rękę, ucałował ją serdecznie, pociągnął ku sobie jej wiotką kibić i przycisnął do piersi.

„Ona żyje!" wymówił z trudem, „tak, moja Elżutko, Bóg nas pocieszył, zesłał nam wielką radosną nowinę. Ona żyje, — teraz musimy ją odnaleźć!"

„Pozwól mi drogi przyjacielu, kochany hrabio," zawołał przyboczny lekarz księcia, przystępując do Zygmunta i podając mu rękę, „że pozwolę sobie pogratulować podwójnie. Najprzód gratuluję ci owej szczęśliwej nowiny, którą właśnie wyczytaliśmy, — a potem łagodny uśmiech upiększył myślącą twarz doktora, — „powtóre do wyboru szczęśliwego, jakie serce pana już uskutecznilo."

„O, kochany doktorze, pan pierwszy z obcych dowiadujesz się, żeśmy z Elżutką połączeni przysięgą i szczeremi przyrzeczeniami, które jednak dopiero wówczas się spełnią, kiedy biedna słaba zamknie swe oczy na zawsze. Bo jak długo obłąkana Alma zamieszkuje zamek Sokolskich, — a chcę, by go zamieszkiwała aż do swojej śmierci, — życzenie nasze zostanie tylko życzeniem.

„Jednak pomimo tego nie narzekamy na los," ciągnął Zygmunt dalej, „jesteśmy szczęśliwi, że się możemy codziennie widzieć, że możemy uścisnąć swe dłonie. To tymczasowo, kochany przyjacielu, wszystko, czego się domagamy od szczęścia."

„Szczęście spłynie i na was, moi państwo," zawołał medyk, „proszę tylko przeczekać cierpliwie! Muszę tylko wy-; znać, żeś pan, panie hrabio, zrobił wybór, z którego możesz być zadowolony i dumny. Tuszę, że poznałem dokładnie pannę Elzę de Rodeń. Obserwowałem ją dokładnie podczas jej długiej słabości i wyznaję z radością, że nie znam innej, którąby godniejszą była zająć tak zacne stanowisko żony właściciela zamku Sokolskich i zasiąść w nim jako pani."

„Dziękuję panu, kochany panie doktorze," odezwała się Elżutka swoim dźwięcznym, szczerym głosikiem, podając mu swoją rączkę, „za dobre mniemanie o mnie tylko chciałabym, aby pańska przepowiednia, że szczęście spłynie na nas, nie tak prędko się ziściła. Chciałabym, — a mówię to otwarcie i szczerze, — aby biedna Alma jeszcze długo, długo używała zasłużonych wygód i troskliwej opieki, — to moje życzenie jedyne, — kochany panie radco!"

„Wiem, wiem, jestem o tem przekonanym," odparł stary lekarz, wstrząsając zlekka głową, „ale niestety muszę wam wyznać, że biedna obłąkana nie długo pożyje. Zresztą czyż śmierć nie będzie dla niej prawdziwem szczęś-

ciem? Kto raz postradał ten drogi klejnot dany nam przez Boga — rozum, dla tego najlepiej jak się zamknie w cieniach grobu!"

„Ale gdzie się podział Kazimierz?" zawołał w tej chwili hrabia Zygmunt Sokolski, oglądając się na wszystkie strony, „gdzie Kazimierz, mój syn i przyjaciel? — Ha, rozumiem, wyniósł się po cichu, — pojmuję dlaczego. Chciał zostać sam na sam ze swojem długo upragnionem szczęściem. Za wielkie ono i za prędkie, aby mógł je podzielić z innymi."

W tej chwili wszedł Kazimierz do środka. Był blady, ale spokojny, tylko jakieś niezłomne przedsięwzięcie odbiło się w jego męskich pięknych rysach.

Zygmunt pośpieszył ku niemu i dwaj ci mężczyźni połączeni ze sobą gorącym węzłem przyjaźni rzucili się sobie w ramiona, dłonie ich splatały się w serdecznym uścisku, pierś spoczywała na piersi, łzy radości toczyły się po ich twarzach.

„Mój ojcze, mój przyjacielu, mój bracie!" zawołał Kazimierz łzami przerywanym głosem, „ktoby pomyślał kiedykolwiek, że tak szczęśliwy dzień zabłyśnie nam kiedyś tutaj na tym zamku, — nam zrozpaczonym wskutek straty naszej najdroższej istoty! — Ona żyje! — Moja Anielcie żyje! — Dobiła do brzegu, — jest w Nowym Jorkuu, — wydrukowane przecież czarno na białem! — A więc do dzieła, dzisiaj jeszcze udam się w podróż za morze, — chcę odszukać moją Anielcię, a jak z nią powrócę, — — prawda, nie odmówisz mi mojej prośby, kochany przyjacielu, — wówczas wyprawimy podwójne wesele!"

Zygmunt zrobił przeczący znak ręką, mała chmurka zawisła na jego czole. Zaraz jednak rozjaśniła mu się twarz, oczy zapłonęły świeżym ogniem; w tym dniu nie powinien się przecież dać pokonać smutkowi.

„Jak powrócisz, sprawimy wesele tobie i Anielci, to drugie zostawimy lepiej Opatrzności do rozstrzygnięcia. Naturalnie zaraz dzisiaj rozpoczniemy stosowne kroki w celu odszukania miejsca pobytu Anielci," ciągnął Zygmunt dalej po małej pauzie, spacerując nerwowo po pokoju tam i napowrót, „przedewszystkiem zatelegrafuję do niemieckiego konsula do Nowego Jorku, będę go prosił, aby porobił co tylko może w celu odszukania mojej córki. — Jednak baczność, — wpada mi dobra myśl do głowy, — czyż nie zebraliśmy się tutaj, aby ujrzeć biedną obłąkaną w jej somnambulistycznym stanie? Czyż nie może ona w tym stanie ujrzeć rzeczy, które się zdala odbywają? Nie może widzieć lub słyszeć rzeczy, których może nie rozumie, ale które ją przedewszystkiem obchodzą i nie może zdradzić ich słowami? Tutaj przecież rozchodzi się o jej ukochane dziecko, za którem tęskni w nocy i we dnie, w tym wypadku chyba nie zawiedzie jej ta zagadkowa siła jasnowidzenia! Dalej więc do dzieła, przyjaciele, chodźmy do niej, czego nie możemy sami dociec swym zdrowym rozumem, może nam wyjaśni ta biedna



Nietylko bomby i iperyt przynoszą Włochy ludności podbitych ziem w Abisynji. Według szumnych doniesień prasy włoskiej miano w ostatnich dniach rozdzielić pomiędzy czarnych rolników 5.000 pługów, które nazwane zostały „bronią pokojową" Włoch.

obłąkana darem proroczym swego ducha."

Energicznie przystąpił Zygmunt do drzwi i otworzył je na oścież. W chwilę później znajdywało się czworo osób w pokoju biednej chorej.

Alma zmieniła się od czasu, kiedyśmy ją po raz ostatni mieli sposobność widzieć, ale zmieniła się na swoją korzyść. To już nie był szkielet powleczony skórą, widmo, które lada chwila zdawało się zapaść w ziemię.

Nie, — chora przyszła do sił podczas ostatnich miesięcy, stała się więcej pełną, — ba nawet odcień dawnej piękności okrasił jej bladą twarz, tylko oczy, te wielkie, ciemne, niespokojne oczy zdradzały chorobę duszy, — były znamieniem, że duch jej jeszcze ciągle błąka się po bezdrożach.

Jednak poznała zaraz Zygmunta, jak tylko do niej przystąpił i podał jej rękę.

„To ty, Zygmuncie!" zawołała, odpowiadając uściśnieniem dłoni, „tak tęskniłam już za tobą i za tą chwilą, kiedy cię ujrzę, a jednak teraz chociaż przedemną stoisz, czuję się tak rozstrojoną, — ach, mogłabym płakać i śmiać się razem, wszystkie nerwy drżą we mnie, pomimo, że czuję w sobie siłę. Zdaje mi się, że tą oto ręką mogłabym cały sufit utrzymać".

„Usiądź sobie na krześle," rzekł Zygmunt, sadowiąc słabą łagodnie na środek pokoju, „twoje nerwy uspokoją się jak sobie wygodnie usiądziesz. Czyś może zmęczona, chce ci się może spać?"

„Ach, spać, spać, potrafiłabym nieustannie," odpowiedziała słaba, „ja to sama wiem, że nawet podczas rozmowy napada mnie sen, chociaż ja się go boję, bo on tak dziwnie cięży mi ołowiem na powiekach. Jak się obudzę, boli mnie potem głowa i tak smutną jestem, że mogłabym cały czas płakać."

„To symptomy somnambulizmu," zaszeptał doktor do ucha hrabiemu, „znużenie przy obudzeniu się, zapadnie w sen nagle nawet podczas rozmowy, — bardzo możliwe, że słaba znajduje się obecnie w tej nowej fazie."

„I cóż, jeszcze ciągle żadnej wiadomości o mojem dziecku?" spytała Alma z cicha, „dlaczego nie przybywa do mnie? Obrazu jej także nie pozwalasz mi oglądać, — a przecież, ja wiem, ża ja ją jeszcze przycisnę do piersi. Kochany Zygmuncie, każ mi przynieść jej obraz, który mi wziąłeś."

„Kazimierzu, bądź tak dobry i przynieś obraz z mojego pokoju," zawołał Zygmunt.

Młody hrabia pospieszył natychmiast i w kilka minut zjawił się z portretem Anielci, który tak sztucznie wymalował był doktor Haler.

„Obraz, — obraz!" zakrzyknęła obłąkana, chcąc się podnieść z krzesła, ale już wcisnął jej Zygmunt portret w rękę. Alma oparła się na poręczy i załzawionym wzrokiem wpiła się formalnie w zamalowane płótno.

„Czy ty wiesz z pewnością, Almo," spytał ją Zygmunt, „że ta młoda dziewczyna na obrazie jest twoją córką, naszą Anielcią?"

„Czy ja wiem?" zawołała biedna obłąkana, „tak, to moje dziecko, ja czuję tu w piersi mej! To samo dziecko, które nosiłam pod sercem, tak, to moja Anielcia! Ale w rzeczywistości ona piękniejsza jeszcze, a ja ją tak kocham, — tak kocham bardzo, — ona pięknięjsza, — ja kocham, — i —"

Powieki jej opadły, — ręka trzymająca obraz spadła bezsilnie na fotel. Elżutka przyskoczyła natychmiast, odbierając z ręki uśpionej portret.

„Cicho!" zaszeptał Zygmunt Sokolski, porozumiewając się wzrokiem z innymi, „ona śpi, — to ten sen, którego życzyłem sobie, zaczekajcie kilka minut

a potem postawię jej ważne pytania.“

Uroczysta cisza zapanowała w sali. Obecni powstrzymywali oddech w piersiach, by tylko nie obudzić śpiącej.

Delikatnie oparła Elżutka głowę Almy na poduszcze fotelu w tyle, tak, że oczy śpiącej były skierowane na sufit.

Głęboka bladość pokryła oblicze Almy; — z każdą minutą zdawała się blednąć coraz więcej.

Wielki spokój był rozlany w jej rysach, jedna pierś pracowała tylko z natężeniem, podnosząc się i spadając na przemiany.

„Teraz,“ odezwał się Zygmunt po cichu, dając znak wszystkim, aby się cofnęli w tył, „teraz spróbujemy, może Bóg łaskawy raczy nam dopomóc. Jeżeli to prawda, że ludzie w tym dziwnym śnie widzą rzeczy, słyszą osoby, które o tysiąc mil są od nich oddalone to może i ta nieszczęśliwa za szczególnem zrządzeniem Nieba, potrafi nam wyjawić, gdzie nasza Anielcia się znajduje.“

Po tych słowach zapanowała znowu cisza jak w kościele. Tylko zegar ścienny tykał po cichu i regularnie mierząc zwolna sekundy i minuty.

Słychać było przyspieszony oddech słabej. Jakiś uśmiech zjawił się na jej twarzy.

„Ty uśmiechasz się Almo,“ zawołał hrabia Zygmunt cichym, ale wyraźnym, dobitnym głosem, „co znaczy twój uśmiech?“

„Szczęście,“ wydobyło się z trudem z ust śpiącej.

Usta jej otwarły się mechanicznie, tylko oczy były zamknięte powiekami.

„Szczęście?“ zawołał Zygmunt ze zdziwieniem, „co za szczęście oznacza twój uśmiech?“

Pomału podniosły się powieki uśpionej, — widać było dwie wielkie źrenice, wpatrujące się szklannym, nieruchomym wzrokiem w sufit — Alma poczęła odpowiadać po cichu z drżeniem w głosie.

„Szczęście, — ja widzę moje dziecko!“

„Widzisz rzeczywiście swoje dziecko?“ badał Zygmunt wzruszonym głosem.

„Widzę, — tak, widzę je,“ odpowiedziała obłąkana, „to ona, — to moja Anielcia, — Anielcia!“

„A gdzie widzisz swoje dziecko, gdzie ona się znajduje?“

„W lesie!“

„W lesie?“

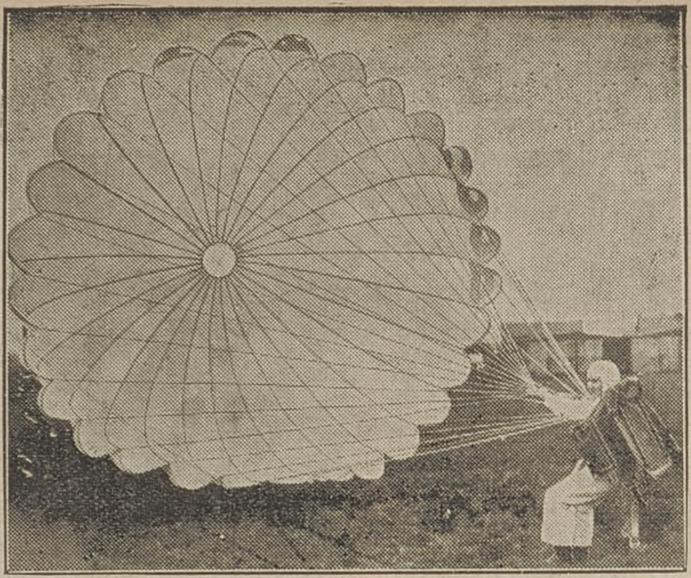
Obecni popatrzyli na się ze zdumieniem.

„Jak wygląda ten las?“ pytał dalej Zygmunt, ciągnąc to niezwykłe badanie.

„To wielki, bardzo wielki las!“ brzmiało z ust uśpionej, „ogromne drzewa rosną na mchem wysłanej ziemi, dotykają się w górze i plączą konarami, — księżyc oświeca cały las — a Anielcia jedzie na koniu przezeń.“

„Anielcia na koniu? Sama jedna?“

„Nie, — jakaś druga tuż obok niej! — Ale teraz, teraz nadjeżdżają mężczyźni, o, — oni nie lubią Anielci, — oni brutalni, — zrywają Anielcię z konia, — o, miejcie litość, nie czyńcie krzywdy memu dziecku, nie róbcie jej nic złego, — ona taka dobra, — ona



Młoda angielska pilotka, p. Józefina Nadin pobiła ostatnio rekord w spuszczaniu się z spadochronem. Panna Nadin liczy obecnie 21 lat i jest najmłodszą w Anglji pilotką. Na zdjęciu widzimy ją podczas ćwiczeń z spadochronem.

tak piękna i dobra, — miejcie litość, zostawcie ją w spokoju, niepoczciwi!“

„Co za dziwne fantazje!“ zaszeptał przyboczny lekarz księcia, „miałożby to wszystko być prawda? To przecież halucynacje obłąkanej, — nic więcej!“

Nagle wyrwał się krzyk z piersi uśpionej, ale została bez ruchu, nie podniosła się, ani nie zmieniła pierwotnego położenia.

„Co widzisz teraz?“ zawołał Zygmunt, „powiedz nam wszystko, co widzisz, — możesz ujrzeć jeszcze Anielkę?“

„Widzę ją, — biada mi, postronek na jej szyji, chcą ją zgładzić, — powiesić, — ostatnia modlitwa płynie z jej ust, — słyszycie, — Ojcze nasz, — Twoja wola! — Tyś wielki i wspaniały na wieki! — Ha! — nie słyszeliście strzału? — Padł w lesie, — a teraz, czerwonoskórcy, — dziesięciu, — dwudziestu, — więcej, więcej, — bardzo dużo czerwonych mężów, — cały las poza tem drzewem roi się od nich, Anielcia uratowana, czerwonoskórcy to zrobili, — uratowali ją, — unoszą ze sobą moje ukochane dziecię, — Anielciu, Anielciu, — moja najdroższa córko!“

Dreszcz wstrząsnął ciałem uśpionej. Zdawało się na chwilę, że to napad kurczu.

Elżutka przyskoczyła do chorej, poczęła gładzić delikatnie rękami jej twarz i czoło, — pomału otworzyły się oczy, — Alma przebudziła się.

Zygmunt, Kazimierz, Elżutka, nawet przyboczny książęcy medyk byli tak wzruszeni, że żadno z nich nie mogło ze siebie ani słowa wydobyć.

Obłąkana jednak zaczęła zaraz nieco zachrypniętym głosem narzekać:

„Gdzieście schowali mój obraz, — dlaczego zabraliście go mi znowu. Proszę cię, Zygmuncie, pozwól, żebym go dostała, — chcę widzieć moje dziecko!“

„Właśnie spałaś trochę, Almo!“ zawołał Zygmunt w łagodnym tonie.

„Ja spałam? — Teraz?“ odpowiedziała Alma, „o nie, — ty się mylisz, dopiero co przecież z tobą rozmawiałam.“

„Więc nie widziałaś niczego, — żadnych zjawisk podczas snu?“— spytał ją Zygmunt.

„Nie, ja teraz nie śnię nigdy, — przedtem miewałam niespokojne sny i widziadła, które mnie męczyły, ale od jakiegoś czasu śpię dobrze i silnie, nic mi się nie śni, toteż czuję nowe siły po każdem przebudzeniu.“

„Więc nic nie wiesz, żeś podczas snu mówiła, — rozmawiała? Przypomnijże sobie dobrze, Almo.“

„Jakże mam sobie przypomnieć, kiedy o niczem nic niewiem, — nie wierzę w to, żem rozmawiała, — cóż takiego mówiłam?“

„O nic, nic znaczącego, — same drobnostki, — ale teraz zajmij się znowu obrazem, — masz go tutaj, — nieprawdaż, to ci sprawia przyjemność, że możesz obserwować rysy twojej córeczki?“

„Ach, naturalnie, mnie tak błogo, — tak dobrze! — Dziękuję ci, mój kochany Zygmuncie! Ach, żebym tylko wiedziała gdzie się obraca moja ukochana Anielcia! Ale ona przyjdzie, — przyjdzie do swej matki! — Będziecie widzieć, — pewnego pięknego poranku zjawi się tutaj! — ale ja przecież zmęczoną się czuję, — myślę że to mi dobrze zrobi jak trochę odpocznę, — zasnę. — Tylko właśnie teraz nie mogę. — bądź zdrów, Zygmuncie, — a jak Anielcia przyjedzie, zaprowadź ją zaraz do mnie, — proszę cię bardzo, Zygmuncie, — nie odmów mi tej prośby.“

Hrabia Zygmunt Sokolski otarł ukradkiem łzę z oka, poczem opuścił z innymi salę. Dopiero jak wyszli do przedpokoju, przerwali to długie, uroczyste milczenie, jakie spowodowało wzruszenie, które wszystkimi zawładło.

Pierwszy tajny radca przerwał ciszę.

„No mój kochany hrabio,“ zwrócił się z tem pytaniem do Zygmunta, „wierzysz pan jeszcze w siłę samnambulizmu i w jasnowidzenie? Wizje egzystują, o tem przekonaliśmy się, ale to wizje gorączkowe, wizje obłąkanej nie mającej związku ani sensu.“

„Muszę panu niestety przyznać rację, panie radco,“ odparł Zygmunt ze smu-

tkiem, „i ja odniosłem to wrażenie, że te dziwne, dzikie, niezrozumiałe obrazy lasu, — czerwonych mężów i t. d. są tylko wpływem gorączki widma które w świetle rozumu pierzchają, — obracając się w niwecz niby bańki mydlane. Alma ujrzała Anielcię w lesie, który nam dziwnie odmalowała. Naprzód była niby to w towarzystwie jakiejś damy, potem nadjechali jacyś jeźdźcy i ci chcieli ją koniecznie powiesić, w końcu jacyś czerwonoskórcy w ogromnej liczbie, którzy ją rzekomo uratowali, — to wszystko taki jakiś chaos, że nie mogę dojść do jakiegoś rozumnego wątku. A ty, co o tem myślisz, moja droga Elżutko?"

„Jabym ci także przyznała rację Zygmuncie," odpowiedziało urocze dziewczę, „gdyby ta cała scena, której właśnie byłam świadkiem, nie wywarła na mnie tak dziwnego wrażenia. W całem mojem życiu nie widziałam jeszcze tak wiernie oddanego uczucia, — tego przejmującego bólu matki, która widzi swoje dziecko w niebezpieczeństwie. Czyż to tak naturalnie oddane uczucie ma być tylko wymysłem fantazji, gorączkowem zjawiskiem, — niczem więcej? — Taka serdeczna boleść nie może być przecież urojoną, — to chyba pewna porcja prawdy w tem się kryje!"

„A ty, Kazimierzu?" spytał Zygmunt młodego hrabiego, który cofnął się do framugi okna i kierując swą bladą twarz ku ziemi, zamyślił się głęboko, „ty nic nam nie powiesz, co ty masz za zdanie co do tych widzeń jakie biedna Alma we śnie nam wyjawiła?"

„Ja?" odpowiedział Kazimierz, zbliżając się powolnym krokiem do hrabiego, „pytasz mnie, co ja o tem wszystkiem, com właśnie usłyszał z ust biednej uśpionej, sądzę? Dobrze, Zygmuncie, powiem ci otwarcie, choć to może pierwszy raz, że zdania nasze tak się różnią! Ty uważasz to wszystko za widziadła gorączki, za marne mrzonki, a ja, — ja wierzę w to, uważam to za prawdę!"

„Kazimierzu!"

„Tak jest, to wszystko prawda, co nam nieszczęśliwa Alma w chwili jasnowidzenia wyjawiła!" ciągnął młody hrabia dalej, przekonywująco, „jestem nawet tego zdania, że mamy tu do czynienia ze rzadkim wypadkiem somnambulizmu, — to wszystko, co nam Alma we śnie opowiadała, odbijało się w jej duszy niby w lustrze. — Czyż niema takich zwierciadełek, które stosownie ułożone potrafią mi pokazać obraz dajmy na to głównej alei ogrodu, której rzeczywiście obecnie nie jestem w stanie ujrzeć. Nie może więc gorąca miłość silne pragnienie, tęsknota matki wzbudzić podobnych refleksów w duszy? W tym razie wszystkie przeszkody muszą iść na bok, — to nic, że tysiące mil dzieli ukochane serca, że ląd i morze stoi w pośrodku. To właśnie zagadka, nad którą naprożno ludzie będą sobie głowę łamali. I najostrzejszy umysł ludzki nie zbada tego, bo jak wiemy, już natura sama położyła mu kresy poza które wyjrzeć nie zdoła. Jednak jest wiele rzeczy, — zjawisk



W dniu 16 kwietnia 1906 roku San Francisco nawiedzone zostało katastrofalnem trzęsieniem ziemi, przyczem 28.000 domów legło w gruzach. W czasie pożaru, który wybuchł w wielu punktach miasta, działy się dantejskie sceny — kilka tysięcy ludzi postradało podczas tej żywiołowej katastrofy życie. Ilustracja nasza jest reprodukcją niezmiernie rzadkiego zdjęcia fotograficznego, dokonanego na drugi dzień po katastrofie.

pomiędzy niebem a ziemią, o których ani mędrcom się nie śni. To zdanie angielskiego poety będzie zawsze prawdą, jak długo ludzie będą żyli na naszej matce — ziemi!"

Z przekonaniem i przejęciem wygłaszał Kazimierz swoje teorje. Z każdą sekundą potężniał dźwięk jego głosu. Jakoś dziwnie przekonywująco potrafił oddziaływać na słuchaczy swoich.

Nawet Zygmunt spoważniał nagle i zamyślił się głęboko. Z oczu Elżutki przebiegło spojrzenie zgody i zrozumienia ku młodemu hrabiemu.

Tylko przyboczny lekarz książęcy stał w rezerwie milcząco.

„Wszystko to ładnie i pięknie, mój kochany panie hrabio," odezwał się doktor, stukając palcem w złotą tabakierkę i zażywając tabaki, — „choćbyśmy nawet przypuścili, że szczególnie gorące uczucia miłości lub nienawiści potrafią wywrzeć pewną przymusową siłę, — ale jakżeż wytłumaczyć to wszystko, — to całe opowiadanie obłąkanej, — takie sceny nawet w teatrze odgrywane rażą swoją nienaturalnością. To przecież wszystko tylko gmatwanina pojęć, chaos niezrozumiały."

„Przeciwnie, panie radco," odparł Kazimierz, poruszając ramionami, „dla mnie to wszystko zrozumiałe."

„Zrozumiałe? Tak? Więcej proszę mi powiedzieć, cóż to za las odmalowała nam uśpiona, — jakiś dziwny las wyglądający wcale inaczej jak nasze zwykłe bory."

„Proszę wybaczyć, panie radco, ale pan doktór zapomina, że Anielcia znajduje się prawdopodobnie w Ameryce. Czyż tam niemożliwy taki las dziewiczy o ogromnych pniach, których konary plątają się górą wzajemnie?"

„Dobrze, niechże i tak będzie! Ale ci jeźdźcy, którzy chcą Anielcię powiesić? Przecież i w Ameryce nie wiesza się przejezdnego tak ot sobie zaraz na pierwszej lepszej gałęzi."

„Tą razą muszę panu, panie tajny radco, zaprzeczyć," odezwała się Elżutka Roden, „właśnie niedawno czytałam wiernie oddany obrazek z życia amerykańskiego, w którym farmerzy za drobnostkową kradzież wieszają biednego przestępcę na miejscu, czyli jak tam się wyrażają ‚lynchują go'."

„Ależ, moja droga, kochana pani, przyzna mi chyba rację, że Anielcia nie dopuściła się przecież żadnej kradzieży w tym lesie?"

„Dobrze, panie tajny radco," odezwał się teraz Kazimierz, „tak dokładnie nie możemy dociekać tej sprawy. Czyżby jednak to nie mogło być, że jakieś fałszywe podejrzenie padło na nią. Przecież stoi tuż przed panem człowiek zasądzony na 10 lat ciężkiego więzienia za zbrodnię, której się nigdy w życiu nie dopuścił."

„Niechże będzie, — ale jak pan sobie wytłumaczy czerwonych mężów," przerwał mu doktor z lekkim uśmiechem, „tego chyba pan sam nie wie, co z tym fantem zrobić?"

„Przepraszam bardzo, panie radco, ale to przecież najprostsza rzecz. Czerwonoskórcy to Indjanie. Jakkolwiek myśl, że Anielcia spotkała się z nimi w dziewiczych lasach prerji amerykańskich, zatrważa mnie mocno, ale pomimo tego wierzę w nią święcie. Przecież chora jak najwyraźniej widziała czerwonych mężów i to we wielkiej liczbie, ci ją uratowali wprawdzie, ale zarazem zabrali ze sobą."

„Ha — nie można panu całkiem odmówić słuszności", odezwał się przyboczny lekarz książęcy, „Teraz i ja nawet zawahałem się nieco, choć muszę wyznać, że do przekonania jeszcze daleko."

„Ale ja za to przekonanym święcie, panie tajny radco, dlatego rozpocznę natychmiast stosowne kroki!" zawołał Kazimierz; „dla mnie jest to jasnem, że Anielcia żyje, że znajduje się w Ameryce i to nie we wschodniej części, tyl-



W Niemczech odbył się niedawno tydzień propagandy gimnastyki. Na zdjęciu widzimy jeden z efektownych pokazów propagandowych.

ko na zachodzie północnej części. Uważam ten jasnowidzący stan słabej Almy jako dobrotliwe zrządzenie Boskie, i według tego pokieruję swe kroki."

„Cóż ty chcesz robić, Kazimierzu?" zawołał Zygmunt niespokojnie, „chciałbyś rzeczywiście — ?"

„Opuścić cię, mój drogi przyjacielu, i to jeszcze dzisiaj!" wyrwało się z piersi młodego hrabiego, który przystąpił do Zygmunta i ujął go za obie ręce, — „nie chcę tracić ani dnia, ani godziny, ani minuty! Dzisiaj odjeżdżam do Hamburga, a stamtąd do Nowego Jorku. Tam udam się natychmiast na zachód i jeżeli leży to w Bożej woli, to odszukam ją. Może mi się uda obronić ją jeszcze wczas przed grożącem jej niebezpieczeństwem.

„Wyjąłeś mi pan moje myśli z duszy, panie Kazimierzu," zawołała rozczulona Elżutka, „tak, to znakomicie. Dla mężczyzny nie przystoi długo się namyślać, — czyn prędki zdobi go, — proszę tylko dalej działać energicznie, bez obawy i wytrwale, a pan nagrody nie da długo na się czekać!"

„Chodź do mnie, tutaj bliżej, na samo serce, mój synu," zawołał Zygmunt ze łzami w oczach, obejmując Kazimierza obu ramionami i przyciskając go do piersi, „tak, jedź, — jedź i szukaj za moją Anielcią, szukaj za moim utraconym skarbem! A jak go znajdziesz przywieź do mnie, — wówczas przycisnę ją do swego serca, popatrzę w jej śliczne oczy i położę ci ten skarb na twojej piersi, bo wiem, że tam będzie mu najlepiej. Weź moje błogosławieństwo na drogę, niech ono cie przeprowadzi szczęśliwie przez szerokie morze i niech ci dopomaga w nieznanym kraju! Bóg mi świadkiem, że chętniebym ci towarzyszył i dzielił wspólnie wszelkie niewygody i mozoły. Ale obecność moja tutaj na zamku jest niezbędna jak długo jeszcze biedna Alma żyje. Dopiero co oświadczył nam nasz przezacny doktór, że lampa jej życia dogorywa już i rzuca ostatnie, niepewne blaski naokół; — chciałbym być przy jej śmierci, — spełnić ostatnią przysługę i zamknąć jej oczy!"

„Twoje błogosławieństwo, kochany ojcze", zawołał Kazimierz, patrząc serdecznie w oczy Zygmunta, „wystarczy mi! — Zostań, — spełń swój obowiązek! — — Bądźcie zdrowi, moi kochani! Idę, aby się przygotować do dalekiej podróży. Moje serce mówi mi, że nie pojadę naprożno, — że ją odnajdę. — Odnajdę ją żywą, — wówczas mój ojcze przywiozę ci ją i położę na twe ojcowskie serce, aby znowu radość i wesele zapanowało na posępnym zamku Sokolskich, jeżeli jednak zapóźno przybędę i nie będę w stanie pospieszyć jej w czas z ratunkiem, — wówczas położę i moje znużone kości obok jej trumny! — — Bądźcie zdrowi, moi drodzy! Pomału wypogadza się! — Światło nadziei wpływa w nasze serca! — Tak silnej miłości, jak moja musi się udać dzieło uratowania skarbu! — Ja ją znajdę, choćby w najdzikszych zaroślach lasu, bo ze mną kroczy błogosławieństwo, — błogosławieństwo podwójne, — ojcowskie i niebieskie!"

CXXX.

Wesele indjańskie

„Istwan", wykrzyknęła Anielcia, „ty, ty to jesteś, — ty, mój opiekunie w syberyjskich puszczach, ciebie widzę tu znowu? I co za cud sprowadził cię tutaj do Apachów w dziewicze lasy Nowego Meksyku? Jakim sposobem odnalazłeś mnie tutaj w tych zaprzepaśnych krainach?"

„Cicho", zawołał jednoręki Istwan, spoglądając na Anielcię, „ani słowa więcej, Anielciu, inaczej zgubieniśmy oboje. Chociaż wódz Indjanów stoi daleko od nas i nie może nas słyszeć, przecież spogląda w tę stronę, a ci czerwonoskórcy mają tak subtelnie wyrobiony zmysł spostrzegawczy, że już z min mogą wyczytać o co się rozchodzi. — Skróćmy naszą rozmowę, Anielciu, na wszystkie twe pytania odpowiem ci chętnie później. Teraz najważniejsza kwestja, o którą mi się rozchodzi, jest uratowanie ciebie. Nie śmiesz ani chwili dłużej zostać w ręku Indjanów."

„Któż mnie wyratuje?"

„Ja", odpowiedział Istwan, „nie wątp w to! Tylko trochę odwagi i energji, a wszystko pójdzie dobrze!"

„Tak, — myślisz, że dzicy chcą mi wyrządzić jaką krzywdę?" badała Anielcia.

„Apachowie zamierzają wydać białym wojnę", odpowiedział Istwan, „wszystkie ich dzikie, brutalne instynkta obudziły się znowu. Prawie ciągle są spici, bo zrabowali ogromne zapasy wódki.

(Ciąg dalszy w nast. numerze)

ODPOWIEDZI REDAKCJI

P. L. Zorawowicz — Mołodeczno. Dziękujemy za nadesłane zadania do kącika rozrywkowego. Skorzystamy z nich w miarę możności. „Chwila zastanowienia" pozostanie narazie w dotychczasowej objętości, ale w przyszłości pomyślimy nad uwagami Pana. Łączymy miłe pozdrowienia.

CHWILA ZASTANOWIENIA

K O N I K Ó W K A

ul. W. Mataczyński — Łysinin

ny	nusz	i	cki	za	ka
la	łu	wi	i	ka	jadź
ja	czar	no	om	li	de
ma	ord	pa	sza	ka	nia
sta	jek	mu	ku	a	na
rzyn	jaw	li	wu	ły	z

Ruchem konika szachowego odczytać rozwiązanie, które da nam szereg pseudonimów z „Krainy szczerości i naszych trosk."

S Z A R A D A

W uroczej włoskiej krainie
Rzeka *pierwsze* hucznie płynie,
Zaś *pierwsze—trzecie* jest częścią
ubrania. A *całość*? — O, jest nią
zniszczenie... zgliszcza... i tytuł powieści.
Autor Polak i polskość w niej wieści.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 1 maja br.

Rozwiązanie zadań z nr. 15 „Moich Powieści": Logogryf zoologiczny: 1) Traczyk, 2) Pełzacz, 3) Kazarka 4) Głuptak, 5) Sielawa, 6) Marabut, 7) Umbryna, 8) Merynos, 9) Czubacz, 10) Wstydek, 11) Jesiotr, 12) Wydrzyk, 13) Kowalik, 14) Piskorz. *Całość:* Czapla, ryby i rak.

Trafne rozwiązanie nadesłali pp.: Andrzej Harasiewicz — Łódź, Anna Złotogórska — Koźmin, Fela Drabentówna — Kalisz, Wiktorja Halicka — Kraków, Witold Balkowski — Warszawa, Edwin Paczkowski — Warszawa.

Nagrody w drodze losowania przypadły pp.: Feli Drabentównie z Kalisza i Witoldowi Balkowskiemu z Warszawy.

Nagrody w postaci 25 oryginalnych wizytówek, za trafne rozwiązanie logogryfu z nr. 14, przyznał autor p. Feliks Gałecki z Głowna k/Łowicza, p. Annie Dorożyńskiej z Chrośna, którą prosi o nadesłanie fotografji, potrzebnej do wykonania biletów.

HUMOR

Mądra pani

— Proszę Pani! Zgłosiło się trzech ludzi z odkurzaczami. Mówią, że mają zrobić próbne odkurzenie.

— Tak jest, proszę każdego z nich wprowadzić do innego pokoju i kazać im tytułem próby wyczyścić dywany.

W Afryce

— Czego żądają ci rewolucjoniści?

— Oni proponują wymianę uwięzionych przez siebie oficerów na konserwy mięsne.

Na lekcji historji

— Ludy, które wędrowały z miejsca na miejsce i nie osiedlały się nigdzie na stałe, nazywamy koczowniczemi. Niezdara, wymień mi takie ludy.

— Kucharki i pokojówki — panie profesorze.

W ogrodzie zoologicznym

— Taki słoń musi kosztować masę pieniędzy.

— Tak, chciałbym mieć tyle pieniędzy, by móc sobie kupić słonia!

— Poco ci? Cóżbyś z nim począł?

— Nic. Chciałbym tylko mieć te pieniądze.

Turysta

Hosenduft wybiera się na partję linową. Kiedy są pod stromą ścianą, przewodnik obwiązuje go liną. Jeden koniec liny trzyma w ręku. Hosenduft jest oburzony.

— Czy pan się boi, że ja panu nie zapłacę i ucieknę??!

Jak rozkaz, to rozkaz

Komisarz: — Skąd pan nabrał tyle numerów samochodowych?

Nowoupieczony policjant: — Jakto skąd? Przecież pan komisarz sam kazał mi brać wszystkie numery tych samochodów, które jadą z szybkością większą, niż 50 klm na godzinę...

Przez kwiatek

— Więc panna Zosia dała ci kosza?

— Właściwie — to niezupełnie. Powiedziała tylko, że gdyby miała wyjść zamąż za mnie — wpierwby się powiesiła.

Rozmówki małżeńskie

Żona: — Gdy jeszcze ciebie nie znałam błagano mnie, abym wyszła zamąż.

Mąż: — Kto cię błagał?

Żona: — Tato i mama!

Grzeczność G. B. S.

Bernarda Shawa odwiedziło pewnego dnia kilku studentów amerykańskich, studjujących w Anglji.

W czasie rozmowy jeden z nich powiedział:

— Drogi mistrzu, dlaczego nie chce się pan wybrać jeszcze raz do Ameryki? Byłbym najszczęśliwszym z ludzi, gdybym mógł tam gościć pana u siebie.

G. B. S., który był tego dnia w wyjątkowo dobrym humorze, odpowiedział z czarującym uśmiechem:

— Byłoby mi niezmiernie miło usłyszeć Amerykan w ich własnej ojczyźnie, ale poco miałbym się fatygować tą daleką podróżą, skoro Amerykanie są bardziej odemnie uprzejmi i nie żałują trudu, aby mnie zobaczyć w Anglji.

Przyczyna

— Dlaczego pan ma taką długą brodę?

— Mój brat wyjechał przed dziesięciu laty do Australji i zabrał brzytwę.

Qui pro quo

Reżyser Teatru Polskiego w Warszawie B., który ma mnóstwo lekcyj sztuki dramatycznej, widzi, że jakiś nowy uczeń przekracza próg jego domu.

— Proszę czytać wyraźnie i z uczuciem — mówi do wchodzącego, dając mu do ręki tomik Słowackiego.

Gdy adept przeczytał już parę stron z trudem i przymusem, przyczem spocił się jak ruda mysz — reżyser B. zauważył:

— Pan nie masz za grosz talentu. Nie będę pana uczył.

— Ach, to dobrze! — odetchnął gość, — bo ja tu przychodzę w sprawie zaległego podatku, jestem z urzędu skarbowego.

Grzeczność

— Szeregowiec Makolągwa!...

— Słucham, panie sierżancie.

— Przypuśćmy, że stoisz na warcie przed prochownią. Patrzysz, a tu zbliża się ktoś z papierosem w ustach. Co wówczas robisz?

— A no, powiadam: ty psia twoja mać...

— Głupiś! Poco zaraz tak ordynarnie. Mówi się grzecznie: „Papieros z mordy!"

Porównanie

— Widziałeś papciu, jak ten czarownik zamienił w okamgnieniu 30 groszy w chustkę?

— Moje dziecko, jego sztuki to głupstwo w porównaniu ze sztuką twojej matki, ona potrafi przemienić w ciągu sekundy 100 złotych w kapelusz.

Piękny krajobraz

Jadąc w Ameryce autem, czy koleją, widzi się po obu stronach drogi na drzewach, słupach i specjalnych rusztowaniach ogromne plakaty reklamujące najprzeróżniejsze fabrykaty.

Pewnego Anglika, który odbył dłuższą podróż własnem autem, zapytano:

— Jak się panu podobają nasze okolice i krajobrazy?

— Cudowne — odparł podróżny. — Jakie wspaniałe opony samochodowe!!! Pyszne mydła toaletowe, piękne obuwie! Świetne środki przeciw odciskom!...

U antykwarjusza

— To ostatni list Marji Antoniny, napisała go kilka chwil po ścięciu.

Dżentelmeński matematyk

— Ile lat dałby mi pan?

— Najwyżej dwadzieścia.

— Oh, jest pan niewypowiedzianie uprzejmy..

— E, chyba nie. Ja tylko z reguły, mówiąc o wieku kobiet, wymieniam połowę cyfry, która powinna figurować w metryce.

Wreszcie zrozumiał

— Co, jeszcze tu siedzicie? Czyście nie zauważyli, że w chlebie była piła?

— Ach, teraz rozumiem, dlaczego dostaję kurczy żołądkowych.

Między przyjaciółmi

— Prawda, jak mojej żonie ładnie w czarnym kolorze?

— Tak ślicznaby z niej wdówka była.

Nie warto

Ojciec: — Fredziu, podaj mi drabinkę; zegar śpieszy się o dwie minuty, muszę go uregulować.

Fredzio: — Czy to warto, tatusiu? Nim przyniosę drabinkę, to już te dwie minuty przejdą.

Jeżeli...

— Watsonie — powiedział Sherlock Holmes — jeżeli pan zobaczy, że pies prowadzi człowieka, to ten człowiek jest niewidomy. Jeżeli pan zobaczy, że człowiek prowadzi psa, to ten człowiek jest żonaty.

Z niwy akademickiej

— Nigdy nie sądziłem, że wyższe studja są tak kosztowne.

— I zważ, tatusiu, że ja się uczę względnie mało.

Niezaspokojone tęsknoty

— Drogi przyjacielu! Czy uwierzysz, iż jeszcze nigdy dotąd nie zaznałam pocałunku mężczyzny!

— Ja także nie!

Na balu

— Bardzo mi przykro, ale ten taniec obiecałam już komu innemu. No, niech się pan nie dąsa, przedstawię pana ślicznej pannie, mojej przyjaciółce Zosi!

— Ależ, panno Edyto, ja nie chcę tańczyć z żadną śliczną panną, tylko z panią.

Nasi milusińscy

— Drogi chłopcze! dlaczego prosisz, bym pogłaskał tę psinkę?

— Psze pana, chciałem wiedzieć, czy on nie gryzie!

Roztargnienie

Matka: — Mój Boże! Bobuś połknął zapałki!... Co tu robić?

Ojciec (w roztargnieniu): — Weź moją zapalniczkę!...

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę mies. 1,00 zł, kwart. 3,00 zł. Pod opaską mies. zł 1,50, kwart. zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 mies. W razie wypadków, spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku itp., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.), ulica Śniadeckich 8 P. K. O. Nr. 207.393. — Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się. Wystarczy adresować: „MOJE POWIEŚCI" — ŻNIN

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,— zł, 1/2 strony 225,— zł i t. d. Wiersz milimetrowy szerokości 31 mm 25 groszy. Drobne ogłoszenia: za każdy wyraz 10 groszy, dla poszukujących pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru

Redaktor naczelny i wydawca: Alfred Ksycki. — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki w Żninie